

WIEŚ

tygodnik społeczno-literacki

Rok VIII

Warszawa, dn. 30. XII. 1951 r.

Nr 52 (334)

STANISŁAW CIEŚLAK

W ROKU 1951

KILKA tylko dni dzieli nas od końca drugiego roku, decydującego o całości planu naszej szesnastolatki. Rok ogromnych, nie tylko ilościowych, ale i jakościowych przemian w życiu naszego narodu, a więc i trudności, które nieuchronnie towarzyszą rodzeniu się NOWEGO ZYCIA.

Przebieśmy się, myślą na południowo-wschodni obszar Polski, do woj. rzeszowskiego, przed wojną „klasycznego” niemal przykładu nędzy i zafacania. Tam, gdzie przed wojną pracowano w przemyśle ok. 20 tysięcy robotników, gdzie 75 proc. gospodarstw chłopskich nie posiadało zboża w ilości wystarczającej dla wyżywienia rodziny w ciągu roku, gdzie budowano rocznie ok. 600 izb mieszkalnych w miastach i 30 km dróg o twardej nawierzchni...

W r. 1951 ruszyło w rzeszowskim dziesięć nowych zakładów przemysłowych, wielkiego i średniego, dwadzieścia sześć nowych zakładów przemysłowych oddano w stanie surowym do pracy w zakładach pozarolniczych oddano do rolnictwa 50 tysięcy osób, wybudowano 354 km nowych dróg o twardej nawierzchni, 3520 nowych a 8500 gruntownie wyremontowanych izb mieszkalnych.

Czy tylko w woj. rzeszowskim? Przecież w roku 1951 w całym kraju milion robotników (trzecia część wszystkich robotników w Polsce) było zatrudnionych przy wykończeniu dawniej rozpoczętych lub stopniowo w tym roku od fundamentów wznoszonych ponad 150 nowych, wielkich zakładów przemysłowych i 550 nowych przy nich osiedli mieszkaniowych.

Wielki plan uprzemysłowienia naszego kraju, zapowiedziany w r. 1949 a przygotowywany starannie w r. 1950, w roku 1951 staje się już rzeczywistością.

W marcu Starachowice rozpoczynają taśmową produkcję samochodów „Star 20”, w sierpniu ruszył nowy piec hutniczy „B” w hucie Kościuszkowskiej, zacięta inwestycja roku 1951, rozpoczyna pracę wielka stalownia w Brzegu, nowa fabryka kwasu siarkowego w Włocławku. Wreszcie — pierwszy kombinat węglowy polskiej produkcji wykonany w Polsce (Fabryka Maszyn Górniczych) rozpoczął pracę w kopalni „Zabrze-Wschód” — rusza wielka cementownia w Wierzbicy, elektrownia wodna w Dychowie, państwowy kombinat maszynowy — do kampanii 1951 roku staje nowa cukrownia Sokołów, rozpoczyna pracę wielki kombinat włókienniczy w Piotrkowie, listopad — polski samochód osobowy „M 20” — Warszawa — opuszcza hale FSO na Żeraniu a Lubelska Fabryka Samochodów rozpoczyna pełną produkcję samochodów ciężarowych.

Ta nowa rzeczywistość naciera na nas. Żąda w nowych warunkach ekonomicznych — technicznych nowego stosunku do pracy, nowego stosunku do życia tym mocniej, im bliżej związani jesteśmy z produkcją. Właśnie dlatego racjonalizacja w kopalni „Kleofas” wykonana już swe zadania wydobycze przewidziane na pierwsze cztery lata Planu 6-letniego, a brygada Wójcika, drążąca nowe chodniki kopalni im. Pstrowskiego wykonuje już plan trzeciego roku szesnastolatki, właśnie dlatego w Kieleckich Zakładach Wyróbów Metalowych brygada ZMP: Dawidowicz, Augustyna, Kobyłkiewicz, Szaryński i Chojnacki — przegonił kalendarz, są w toku wykonywania planów produkcyjnych I półrocza 1952 roku. Takich jak oni jest już tysiące i dziesiątki tysięcy.

Ten rozmach socjalistycznego uprzemysłowienia zakończył w roku 1951 i wsią.

Porwał do szkodliwych zawodowych, średnich czołowników i na wyższe uczelnie setki tysięcy chłopów i dziewcząt, wyciągnął ze wsi prawie pół miliona, głównie małorolnych, do pracy w zakładach pozarolniczych, poruszył do głębi wielką jesienną ofensywę skupu i kontraktacji masy średniorolnych, zakupionych w swych gospodarstwach, zamaskował przychajonych kulaków, odelaniując ich sojusze ze spekulantami w mieście, sojusze zbrojny swym ostrzem przeciw sojusznikom robotników i chłopów pracujących, obnażył w całej pełni dywersyjny, przeciw podstawowemu interesowi narodu polskiego, sklerotyczny charakter planów i propagandy międzynarodowego kapitału.

Stanie w r. 1951 przed chłopstwem pracującym, a zwłaszcza przed chłopami średniorolnymi pod-

stawowe, proste, a także wymownie nową gospodarkę ludową charakteryzującą, pytania:

Dlaczego przed wojną przy 35 milionach ludności półtora miliona ton zboża, oddawanego na rynek w formie (głódowej) dla małorolnych, zyskowej dla obszarników i kulaków) nadwyżki towarowej rolnictwa, było aż tak „za dużo”, że trzecia część tego „trzeba” było wywozić za granicę? A dziś przy 25 milionach ludności dwa i pół miliona ton wcale nie jest za dużo i wzywa się chłopów do dalszego zwiększania wydajności zbóż w r. 1952 co najmniej o 1 q z ha, kiedy nie wywozimy ani jednego ziarenka za granicę.

Dlaczego przed wojną — przy 29,4 sztuk trzody chlewnej i 41,2 sztuk bydła na 100 ha użytków rolnych była pozorna obfitość mięsa w miastach, a dziś przy ok. 37 sztukach trzody chlewnej i 35 sztukach bydła rogatego na 100 ha użytków rolnych, przy liczbie ludności prawie o jedną trzecią mniejszej, miasta nasze odczuwają brak mięsa?

Dlaczego, jeśli nie zwiększymy do r. 1955 produkcji roślinnej o jedną trzecią (to znaczy o ok. 18 milionów ton ziemiopłodów, a więc o ilość, dla której przewiezienia nie wystarcząby wszystkie floty handlowe wszystkich państw świata), jeśli nie zwiększymy hodowli o dwie trzecie, w tym ilości bydła do 46 sztuk, a ilości trzody chlewnej co najmniej do 50 sztuk na każde 100 ha użytków rolnych — to groziłyby krajowi jeszcze ostrzejszy niż dzisiaj deicyt artykułów żywnościowych?

Propaganda zewnętrznych i wewnętrznych wrogów klasowych, sugerująca wprawdzie zysk z Polski za granicę jako główne źródło trudności aprowizacyjnych kraju, zbyt jest kłamliwa w świetle widocznego dla wszystkich przywozu ziemniaków, mięsa wołowego, pasz trzcielnych i t. p. z zaprzysiężonych krajów demokracji ludowej, aby mogła dać na to odpowiedź.

Prawdziwa odpowiedź na te podstawowe pytania, zahaczające o codzienną, najbardziej bliską każdemu chłopu pracującemu jego działalność produkcyjną, a sięgające do istoty nowej, ku socjalizmowi zdążającej gospodarki polskiej — postawi przed nami chłopów pracujących przedzie czy później sprawę nowej, odpowiedzialnej organizacji gospodarki rolnej, bo inaczej opóźnienie się rolnictwa za rozwojem przemysłu, które dziś stało się tak dokuczliwe tymczasem tylko dla miast, obróciłoby się szybko przeciw wsi: zatrzymując odpływ do zajęć pozarolniczych, hamując możliwość awansu społecznego młodzieży, opóźniając a nawet uniemożliwiając stały i szybki wzrost dobrobytu, oświaty i kultury pracującego chłopstwa w Polsce.

Cisną te pytania (domagając się nie tylko odpowiedzi ale i załatwienia) na cały nasz przesyłać pół miliony aktyw polityczny, gospodarczy, społeczny i kulturalny, pracujący w powiatach, gminach, gromadach w bezpośredniej łączności z masami pracującego chłopstwa.

Naciskają te pytania zwłaszcza na ponad 95 tysięcy robotniczych i chłopskich, działaczy terenowych rad narodowych, na setki tysięcy robotników i chłopów członków wszelkiego rodzaju komisji, zespołów, narad, ogromniejących się coraz liczniej wokół terenowych rad narodowych i ich prezydium.

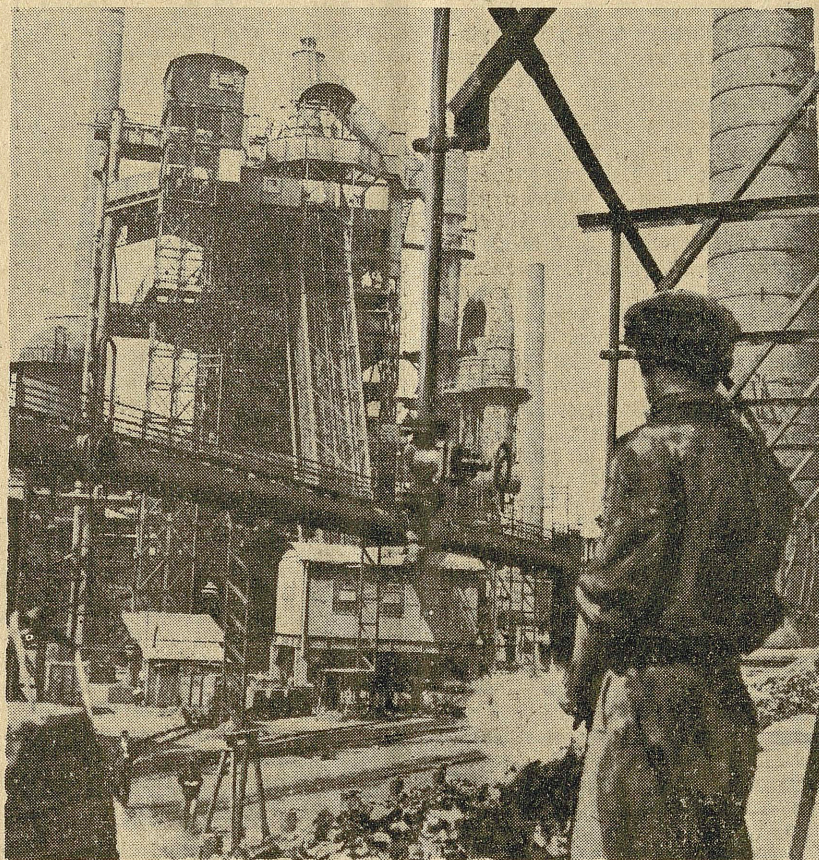
Takie to zagadnienia w r. 1951 — nie tylko w ujęciu teoretycznym — stanęły na wszelkiego typu masowych naradach, zebraniach i zjazdach chłopskich, zorganizowanych z inicjatywą partii.

Postawił te zagadnienia przed chłopami pracującymi mocno i dobitnie rynek wewnętrzny, wolny na zawsze od kryzysów nadprodukcji i klęsk urodzaju, nienasycony w swej chłonności nowy rynek wewnętrzny o ustalonych cenach, gwarantujących wzrost dochodu przy każdym obniżeniu jej kosztów.

Argumenty tego rynku, poparte cierpliwą, codzienną, wytrwałą pracą wychowawczą i oświatową kłasy robotniczej i partii, posiadają ogromną siłę przekonywania.

I dlatego też myśląc o kończącej się już, niełatwym roku 1951, należy pamiętać, że nie tylko osiągnięcia tego roku, ale nawet i ostre trudności, które przeżyliśmy — stały się kołem napędowym naszego dalszego rozwoju w kierunku socjalizmu. A to jest przy ocenie każdego z lat Planu 6-letniego przecież decydujące.

Stanisław Cieślak



JERZY MILLER

NAD NARWIĄ

Janowi Koprowskiemu

Łąk nad Narwią zieleni się pas.
Strzechy kryją chaty okoliczne.
I róg wertepy, Czyżby zamari czas
jak bieg rzeki zamrożonej styczniem?
Wszędzie graby, topole i wierzbę,
ówdzie olcha w pobliżu mokradeł.
Pola, kilometry lasów — rzechy
kraj żyjący poza jazd rozkładem.

Dla pewności zapytałem chłopca,
który pod wiatr wypytywał latawiec
— pogo żyje? ów podmuchów łowca
jakich pragnie wypiecenia zachęcał:
Czego później, już mężczyzną, chciałby:
mórg, spichlerzy, po kulaczce spadku,
dla pieniędzy spryszczenia z diabły,
być młynarzem, czy kępem na ostatku?

Wiatr podsycił żar ogniska. Krowy
rozwińczyły się jak dym po łące.
Popatrzem na chłopca o płowych
jak len włosów spalonych przez słońce.
Jego boso, rozbiegane stopy
nieulekły się ścierniska szczeci
Koszulina, łatanie porcieta
w rękę pajda razowca i... zeszyt.

Zadziwionym spojrział na mnie wzrokiem:
— Kimżeś twórczo nierozumnych pytań?
Nietulejszy i pewnie przed rokiem
po tulaczce do Polski zawałta? —
Odgarniając z czoła lok niesforny
nim odpowie — ogień skrzepi jeszcze
wiązką ostów, garstką zeschłej kory
Chwast zasyczy i drzewo zatrzeszczy.

Przyrodnikiem chce stać się, odkrywcą,
rozwiązywać niewiadomych tysiąc
i okiełzać naturalną, wilczą
krew przyrody, kły i osty wyciąć!
Twarz chłopięcą entuzjazm rumieni,
oto jak się młodość gospodarzy,
nie o spadku, nie o furmanianiu
jaśniepańskim powozem zamarzy!

Wstrętny jest dlań spór o ćwierci akra
i nieznana zachłanność borsucza,
fetyz ziem, posiadania sacra,
którą przeszłość jak kłutą obrzuca.
Wyrzekł zdania chropawe, niezdarne
z blaskiem w oczach zdradzającym siłę,
pewność siebie, co to on ogarnie,
kim się stanie, aż zaniemówię.

Widać dworek poza rzędem wierzb
otoczony starodrzewia parkiem.
Nagle widok zeszlowieczy pierzchł
miast pochodni dojrzałem latarkę!
Przyrodniczy gabinet we dworze,
atlas roślin, książki i mikroskop.
Wszedło ziarno na pańskim ugorze.
Twój, Ściegienny — spełnił się horoskop.

Jeszcze wczoraj dywersyjna, groźna,
wioletteńnią znękana choroba,
wsi podlaska, równinna, bezdrożna
rozkład jazdy dwa martwotę objął.
I pogania Narwi nurt leniwy,
w oczach chłopca niebieskich goreje.
Patrz — chłopiec do słońca się śmieje
Inny Janko Muzykant — szczęśliwy!

WOJCIECH DRYGAS

Nowy folklor

WIELKI jarmark w tygodniu przedświątecznym przed wojną był zawsze dla Sieradza wydarzeniem epokowym. Liche szkapiny biedniaków i karmione owsem walczy kulackie z trudem przebijają się przez ciżbę kolorowych welniaków, krasnych chust i maciejówek, ciągnących wąskimi uliczkami na rynek. Zatory z wozów i furmanek chłopskich sprawnie likwidowali zapasowymi ładami swych koni dwaj policjanci. Byli uzbrojeni w palki gumowe i ściśle przepisy postępowania. Ich konie dosięgły ponoć szczytu mądrości, już sam sposób poruszania się wśród tłumu ludzkiego mówił o długoletnim otrzaskaniu z dyscypliną komisariatu. Na cichy rozkaz „wejść” — wykonywały gwałtowny zwrot, wykrętnik „usta” — odrywał tylne kopyta od ziemi i wbił się w najbliższą stojącą furmankę. Wtedy w ulicę robiło się przestronniej, a chłopca urągającego władzy, odprowadzano na komisariat.

Były to zresztą zbyt drobne nieporozumienia, aby mogły zaprzętać uwagę gapiów dłużej, niż na kilka minut. Z rynku wzywała hałaśliwie takimi pruskimi marszami katarzynką — nie do taktu, a na melodię „gorzkich żali” płynęła z gąrdzieli katarzyniarza rzewna piosenka.

„Uderz panna papugę w ogonek,
A wyskoczy ci złoty pierścionek,
Mały czy duży —
Każdemu jednak służy...”

Opodal konkurencja w osobie chudej tyczki wykrzykiwała bez melodii, lecz za to w rytmie:
„Ile się namęczył,
Ile się natrudził,
Koszę z ziemiem,
Kobierzyk zbrudził,
A krawata nie zawiązał!
A tu taka ofstomata
do wiancia krawata —
za jedne jedne 50 groszy!”

A jeszcze dalej na rozstawionych stołkach i stołeczkach cudowny eliksir na porost włosów („dla chłopaka i dziewczyny — jelijsir na łysiny!”).



Fot. Maciejewski

zółte buteleczki z kropelkami św. Wincentego na ból zębów („...a jak pacierz nie pomoże — ból zęba kropelka zmoe!”) i wiele innych atrakcyjnych wynalazków XX wieku, co to aż z samej „Jameriki przywędrowała, aby ludziom dobrze poczynali...”

Nie jedyna była to plaga sieradzkiego jarmarku w latach międzywojennych. Obok niej tłum wydrwiogroszów w nieodownym kostiumie żebaczych tachmanów. Złabryci, radcy z twarzami uduchowionych światłoków byli to wielcy artyści w swoim zawodzie. Żadna chłopka nie rozwinięła na targowisku koblaki z masłem, twarogiem i jajkami, zanim nie uzyskała błogostoiństwa oczajdujszy o ekstatycznym wnętrzu, blakającym w chmurach. Błogostoiństwo takie kosztowało 20 gr. i dawało gwarancję, że zbyt pójdzie w tym dniu dobrze.

Miniełszy dopiero przedpole jarmarku. Właściwie targowisko zaczynało się od linii straganów. Do późnych godzin przedpołudnia handlarze i różnego autoramentu przekupnie poziewali w swych budach i przystupowali dla rozgrzewki nogami. Interes nie szedł. Towar był — klient nie przychodził. W tym czasie „życie handlowe” koncentrowało się na przyferiach — po drugiej stronie placu. Tutaj taksonowo szunika, przyklepywano „na zgodę” ciela, wykłócano się o chudą kure, „paniusie” z miasta targowały się zawzięcie o każdy grosz na jajku, o każde dziesięć groszy na tłustej gęsi.

Sprzedał swój towar z minimalnym zyskiem — to także był stragan. A wypadło często i gęsto sprzedać z poważną stratą, aby nie wrócić do

domu bez potrzebnej rzeczy. Straganicy wyciskali z chłopów — jak to się mówiło — ostatnią kroplę krwi. „Nożyce cen” cięły bez litości przy akompaniamencie wrzasku straganiarzy, przekonujących ze słowami w oczach, że towar sprzedają z litości — bez najmniejszego zarobku.

Stragany jarmarczne były właśnie od tego, aby przemycić na wieś wszelką wybrakowaną tandetę.

Inna atmosfera panuje dziś na przedświątecznym targowisku sieradzkim. Zorganizowały go PZGS i



gminne spółdzielnie. Kształtuje się nowa tradycja handlu — handlu socjalistycznego, kształtuje się zgoda odmienny folklor okresu dyktatury proletariatu. Ten typ handlu stoiskowego staje się już dzisiaj nowym składnikiem społeczno — obyczajowym naszego życia prowincjonalnego.

Zniknęły bezpowrotnie nieodzwonne akcesoria sanacji; bractwo żebrace, stoliki i stołeczki, wydrwiogrosze, pruskie marsze katarzynki z papugami. Ich miejsce zajęły głosniki miejscowego radiowęzła, bar mleczny, ruchome stoisko gospody ludowej z obszernym parkietem, na którym chętni, a skorzy do tańca chłopcy i dziewczęta, mogą sobie do woli pohasać.

Cóż jeszcze tchnie nowością? Okazuje się, że chłop nie przyjeżdża na dzisiejszy jarmark do Sieradza, żeby sprzedać, lecz po to tylko — aby kupować. Produkty rolne zbyt po statych i opłaczalnych cenach w ramach wielkiej akcji gospodarczych skupu państwowego w GS-ach — portfel cięży pieniędzmi. Uderza olbrzymie wzrastanie jego potrzeb.

Przypatrzmy się straganom, stoi ich kilkadziesiąt, są to stoiska gminnych spółdzielni. Co chłop kupuje? Kupuje dostawnie wszystko. Największy ruch panuje przed straganami z odzieżą zimową, męską, kobiecą i dziecięcą. Zbyt mają płaszcze, kurtki, garnitury, suknie. Samej tylko konfekcji męskiej i kobiecej stoiska targowe gminnych spółdzielni z Bartochowa, Bogumitowic i Wierzbicy sprzedają w jednym dniu za sumę 150 tys. zł.

Niemniejszym powodzeniem cieszą się wyroby żelazne, wyłożone w poważnych ilościach na straganach gminnej spółdzielni z Burzenina. A oto kilka luźno rzuconych cyfr: w ciągu kilku godzin sprzedano 2.600 wader cynkowych, tysiąc różnych garnków emaliowanych, 2 tony garnków żeliwnych i 5 ton gwoździ.

Przy stołkach gminnych spółdzielni z Zadzimia, Majaczewic i Gruszczy, sprzedających artykuły tekstylne — przeważają kobiety. Dużym popylem cieszy się popularny materiał „cajgowy” i „kortowy”, chętnie nabywane są lepsze gatunki tkanin wełnianych na suknie oraz garnitury i płaszcze męskie.

Wielki zbyt mają tanie buty robocze i gumowe, ale sprzedaż obuwia luksusowego liczy się też co najmniej w setkach par.

Chłopi z Chartupia, Wróblewa i Monie, którym państwo zelektryfikowało w tym roku gromady, kupują sprzęt elektrotechniczny, grzejniki, żelazka elektryczne oraz lampy wiszące i stojące. Bez targów, bez rozdierania szat — ceny są przeciętne.

I tutaj właśnie wpada nam przypadek w ucho rozmowa growdzona między dwoma gospodyniariami:

— „Czego się sąsiadka tak rozpucha?”

— Chce kupić żelazko elektryczne...

— Żelazko elektryczne? Przecież się z Chrościc, a w Chrościcach nie ma elektryki?

— Nie ma, ale będzie... robotnicy mówili!”

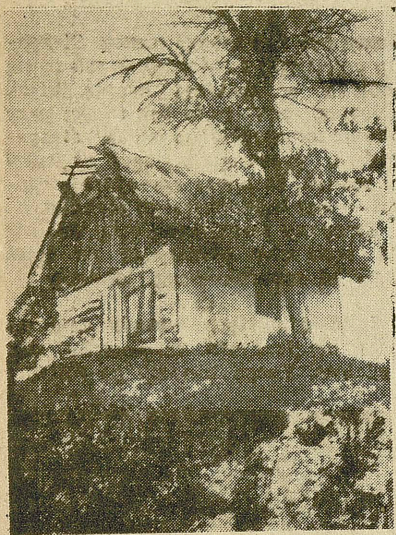
Wojciech Drygas

DYZMA GAŁAJ

JAK MARCINIĄK STAŁ SIĘ KAPITALISTĄ

OPOWIEM Wam dzieje pewnego gospodarstwa i związanej z nim rodziny. Historia, którą przedstawię rozgrywała się w jednej ze wsi powiatu łowickiego i jest w najciekawszych szczegółach prawdziwa. Dlatego też sądzę, że prawdziwość tych wydarzeń pozwoli Wam w Waszych wsiach wskazać podobnych Marciniaków, oraz co najważniejsze — ocenić ich postępowanie i życie.

Jeżeli chodzi o dzieci nie wiodło się starym Marciniakowi. Najstarszy Józef zmarł na tyfus prawie dokładnie tego samego dnia, którego zginął w wojnie 1920 roku najmłodszy Stefan. Jaska w rachubę nie brało się, bo był półdłotą, nie przynosił wprawdzie Marciniakom



Jak mieszkali ofiary Marciniaka

szkody, ale nie było również z niego pożytku. Pozostał 20-letni Władek — chłopak naogół bystry i ambitny. Władek szczerze żałował zmarłych braci, ale równocześnie był uszczęśliwiony, stał się teraz jedynym dziedzicem ojcowizny, nie-
le postawionego gospodarstwa o obszarze 10 ha. Pierwszym ważnym wydarzeniem w rodzinie Marciniaków po śmierci dwóch braci był ożenek trzeci. Pierwszą kłótnię młodego gospodarza ze starym spowodowało pytanie: co zrobić z posesją? Stary przykazywał dokupno ziemi. Akurat we wsi licytowano za długi trzymorgowca, a ponadto jeszcze za cztery, z pięć morgów można było dokupić z parcelacji pobliskiego dworu.

Ala młody Marciniak snuł inne plany. Za posagowe pieniądze kupił maszynę do młócki, żniwiarkę, kopaczkę od kartofli, kilka drobniejszych maszyn i narzędzi, oraz zbudował rozległy spichrz. Stary Marciniak patrzył spode łba na te synowskie — jak mawiał — fanaberie, ale młody nic sobie z tego nie robił. Ba, czegoś się miał bać, przecież to jego rzędy na gospodarce. Z ojca podśmiewał się dobrośliwie i przemyślał, czym by go zająć, żeby mieć z niego korzyść w gospodarstwie. Tak kręcił, tak medytował, tak ojca namawiał, aż ostatecznie zrobił z niego bartnika. W trzy lata później z trzech rosi pszcze-
lich miał już 11, a w lipcu wpłynęły za miod pierwsze pieniądze do synowskiej kasy. Ale nie pszczoły i nie stary Marciniak stanowili główną część Marciniakowego gospodarstwa.

Dlatego młody Marciniak za uzyskane w posagu pieniądze kupił szereg maszyn rolniczych, a między innymi półparówkę do młócki. Dlaczego odrzucił ponętną radę ojca, by dokupić ziemi? Czyżby nie chciał tej ziemi, która sama szła mu w ręce? Odpowiedź dadzą dalsze dzieje tego gospodarstwa.

Po żniwach Marciniak zrobił próbę omlotu nową maszyną. Zleciał się do niego pół wsi. Niewielu gospodarzy miało własne kieraty, a tu zjawia się taka niezwykła maszyna. Nic zatem dziwnego, że trochę z zaciekawieniem, a zapewne i z zazdrością patrzą, jak Marciniak oliwił motor, ustawiał go, łączył pasem szerokomłotną młocarkę. Dwanaście osób stanęło na stanowiskach. Zapalił motor, zahuczała maszyna. W ciągu godziny wymłócono 3 wozy pszenicy. Dało to 6 metrów zboża. Taki był początek kariery Marciniaka. Gdy bowiem ogłosił we wsi, że może młócić — oczywiście za wynagrodzeniem, schodzili się do niego amatorzy jeden po drugim. Siepień, wrzesień i częściowo październik, a czasem nawet i inne miesiące każdego roku były żniwami dla Marciniakowej półparówki. Młócił w swojej wsi, w sąsiednich — gdzie mu pasowało. Przeważnie u średniaków, którzy nie mając parobków, nie nędzali z przygotowanem zbożem do siewu. Oczywiście zdarzało się młócka u innych, choć do gospodarstw lichych i małych Marciniak nie szedł, bo na trzy godziny (norma opłacalności) nie było tam dla niego młócki.

Co Marciniak mógł swoją półparówką zarobić?

Łatwo to obliczyć, choć Marciniak nikomu informacji nie udzielał. Sąsiedzi obliczyli i to bez pomocy. Szczególnie ci, którzy u niego pracowali, lub u których on młócił. Zatem liczymy razem z sąsiadami: za 1 godzinę młócki płacono Marciniakowi 1/2 metra pszenicy, w sezonie pracował Marciniak dziennie średnio 10 godzin, sezon trwał 2 miesiące, czyli mniej

więcej 45 dni roboczych, czyli 450 godzin, poza sezonem 15 dni, razem 600 godzin w roku, co licząc za każdą godzinę po 1/2 metra pszenicy, dawało ni mniej, ni więcej, tylko 300 m zboża.

Koszta paliwa, reperacje i inne związane z młócką wydatki wahały się w granicach 30—40 metrów, czyli na czysto zostawało mu 260, powiedzmy 250 metrów pszenicy rocznie.

Skrzypiały ciężko otwierane drzwi, ze zgarbionych pleców spadały worki na rampę, by za chwile wysypać się złotą strugą pszenicznego ziarna na wciąż rosnącą zaspę. Stary Marciniak stał z rozkoszy, a kręcąc grubego cybucha przytakiwał sobie niewiadomo kłó-
ry już raz — mój Władek ma łeb. Ma, psłaciemac, łeb i umie tym łbem robić... Szybko też przekonał się, że maszyna lepsza niż morgi. Urodzajniejsza i nie kapryśna. Zawsze — czy to susza, czy mokradło — urodzi.

Jasne, że Marciniak jeżdżący ze swoją młocarką nie mógł osobście obrobić własnego gospodarstwa. Ale we wsi byli ludzie łaknący zarobków i chleba. Przychodzili do Marciniaka i pracowali. Czasem kierował nimi młody, czasem stary Marciniak, a czasami nawet parobek, który już od trzech lat pozostawał tu w służbie i chwalił sobie los, bo Marciniak nie był z tych najgorszych chłobadów — należność wypłacał regularnie, a czasem nawet dorzucał złotówkę — na odpust, lub zabawę.

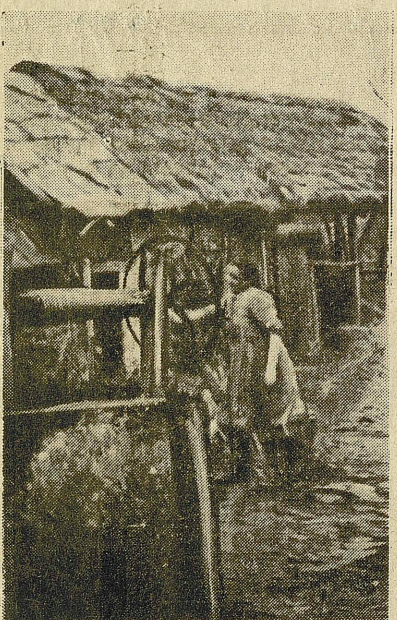
Policzyliśmy Marciniakowi zarobki za młóckę, policzmy z grubsza i wydatki na robociznę w początkowym okresie jego gospodarskiej kariery. Okres bowiem późniejszy gruntownie zmieniał ten obraz.

Liczymy więc: parobek jako stała siła najemna — 7 m pszenicy i 7 m żyta, razem 14 m. Dziewka-służka — 12 metrów zboża. Pastucha nie miał. Funkcję tę pełnił brat-półdłota.

Robocizna dorywcza — 34 dniów-
ki w roku. Przy czym za dniówki nie płać ani gotówką, ani zbożem, gdyż uzyskał je następującymi sposobami:

- 1) za wypuszczenie 2 zagonów ziemi pod kartofle — 8 dniówek odroboku
- 2) za wypuszczenie 1 zagona ziemi pod len — 4 dniówki
- 3) za wypożyczenie koni — 8 dniówek
- 4) za wypożyczenie różnych maszyn i narz. roln. 14 „

Za robociznę dorywczą zatem nie płać. Za stałą płać rocznie 26 m zboża. Widzimy więc ciekawe zja-



Wyzyskiwani przez Marciniaka

wisko: do spichrza Marciniaka od obcych w ciągu roku wysypano 250 m pszenicy, a odprowadzono robotnikom zatrudnionym w jego gospodarstwie 26 metrów.

Po pięcioletnim gospodarowaniu — w 1929 roku bogacz zaczął się niepokoić, bo zapasy pszenicy stawały się niepokojąco duże. Obydwa Marciniakowie — stary i młody — bali się ognia. „Zboże nie ubezpieczone! W razie pożaru pozostałaby torba i kij żebraczy”. Co innego 50 czy 60 metrów, a co innego pół tysiąca. Cóż to bowiem dla Marciniaka znaczyła suma 50 metrów? Choćby ją stracił — niewielki żal, ale 550 metrów?

Wytrzymał do maja i sprzedał prawie wszystko. Kupcy zapłacili przedniwkową cenę. Po 56 zł metr. Razem 28 tysięcy złotych. Jak tę sumę spożytkować? Oczywiście, Marciniak nie był z tych, którzy skarby chowają po północach i sieniach. Latem część pieniędzy przeznaczył na dalszą rozbudowę gospodarstwa, a głównie ogromnej murywanej obory, resztę oddał do banku, który dawał zysk niewielki, ale pewny.

Nie upłynął rok a już całe życie gospodarce kapitalistycznej Polski zaczął paraliżować głęboki kryzys gospodarczy. Cena pszenicy spadała na łeb — do 35, 23, 25, 20, 18 zł. 103 metrów nowych zapasów stanowiło tylko trzecią część niedawnej wartości. Stary Marciniak schudł ze zgrzyoty, młody natomiast ilekroć przypominał sobie niedawną sprzedaż 50 ton i wartość wypłaconych przez bank procentów pogwizdywał rzasko i mawiał do ojca — „nie martwie się tato. Jakiś tam bide się przeżyje”.

Tymczasem kryzys rzucił się na chłopów jak dzikie zwierze. W gospodarstwach nie było za co wziąć ziółki. Świnie, krowy, zboże, nabiał przywożono z targu z powro-

tem do domu. Kto miał kupować? Robotnik w mieście? Fornal, wyrobnik? Za co? Fabryki stawały, zarobki skurczyły się bardzo, albo zniknęły zupełnie. Zapanował głód, choć zboża było pod dostatkiem. Miasto nie mogło go kupić, bo pozabawione było zupełnie pieniędzy, a wieś — (oczywiście, mowa tu o chłopach mało i średniorolnych) — musiała to zboże sprzedać, żeby spłacić podatki i różne procenty od dawnych pożyczek. Procenty były duże, bo i pożyczki mocno obciążały poszczególnie gospodarstwa. Średnio na 1 ha ziemi w Zarzeczu wypadało w tym czasie 211 zł długu, czyli mniej więcej tyle, ile wynosił jednoroczny plon z hektara ziemi.

Raty i procenty trzeba było płacić, bo wierzyciele stawiali się natrączyli i nieubлагani. Tak samo było z komornikiem. W imieniu prawa nakładał sekwestr na ostatnią krowę, nie patrząc na nędzę, na krzywię i gruźlicę dzieci... Chłopi z Zarzecza w walce o prawo do swoich gospodarstw walczyli z wierzycielami i dłużnikami sprzedając resztę ziarna, inwentarz, pożyczając pieniądze dorywczo, posiadających szczęśliwców, posiadających gotówkę z lepszych czasów...

Jednym z nich był Marciniak. W marcu 1931 roku przyszedł do niego Franciszek Majcher, sześciomorgowy chłop z Zarzecza, synący szeroko na okolicę z pechowego gospodarowania i bardzo licznej rodziny, złożonej z dziewięciorga dzieci. Najstarszy z nich 13-letni Janek — służył u Marciniaka za pastucha, bo brat-półdłota coraz gorzej spełniał tę funkcję, aż zmarł w polu, niezauważony przez nikogo, niepotrzebny nikomu nędzarz — brat szeroko znanego w okolicy Marciniaka.

Tenże właśnie Majcher, ojciec Marciniakowego pastucha stanął przed bogaczem, przynajmniej groźbą licytacji części gospodarstwa i ciężką chorobą żony. Nie miał już żadnego wyjścia. Albo się powiesił, albo rzucił wszystko i uciec w nieznaną, obcy świat. Wtedy to właśnie usłyszał pytanie młodego Marciniaka: — Ile wam potrzeba?

— Siedemset dwadzieścia sześć złotych, — odpowiedział półseptem,

nie mając żadnych złudzeń, co do otrzymania pożyczki.

— Zgodą. Pożyczę wam.

Stary Marciniak wpadł we wściekłość. Gdy się zadyśzał, młody z Majcherem ustalił wysokość stopy procentowej „12 od stu”. — „I czasem przyjdziecie pomóc mi w robocie” — dodał na zakończenie Marciniak.

Pożyczka udzielona Majchrowi zapoczątkowała nowy okres w karierze gospodarskiej Marciniaka. Zorientował się on, że bardziej opłaca się oddać pieniądze na pożyczki takim różnym Majchrom, niż trzymać je w banku. Przecież co 12%, a później nawet 15% i więcej, to nie 4%, które łaskawie wypłacał mu bank. Wprawdzie mogły być wątpliwości, czy tacy nędzni dłużnicy zdolają spłacić przyjeżdżając do siebie zobowiązania, ale przecież młody Marciniak miał nie być taki — „umiał tym łbem — jak mawiał jego ojciec — ruszać”. Wiedział, że w najgorszym wypadku odwoła się do pomocy sekwestratora.

W niedługim już czasie ściśnięte krzyżem 4 gospodarstwa wsi Zarzecze przyjeżdżało do Marciniaka pożyczkę w łącznej wysokości 9.200 zł. Żadne z nich oczywiście przypadało na nie rat nie spłacało, tym bardziej, że i wierzyciel nie nalegał. Wdzięczni dłużnicy pracowali u niego w polu, odpłacając robotą jego rzekomą wspaniałomyślnością. Brnęli przy tym w coraz głębszą nędzę, w coraz większe długi. Zresztą nie tylko oni i nie tylko w Zarzeczu. Trzy czwarte chłopów w Polsce w latach trzydziestych znajdowało się w równie rozpaczliwej sytuacji. Marciniaków zaś można było w gminie na palcach rąk policzyć, ale każdy z nich porastał w pierze coraz szybciej.

Jeszcze w 1930 roku kupił 4-letniego, rasowego ogiera. W Okręgowym Towarzystwie Organizacji i Kółek Rolniczych załatwił sobie to, że wszystkim okolicznym ogierom odebrano licencję. Został tylko jego piękny gniadosz.

Jaki zysk przynosił ogier Marciniakowi?

200 metrów żyta lub owsa, skoro od każdej klaczy zarabiał jeden metr, a klaczy było w sezonie średnio 200. Oczywiście jego Wojtek — tak wabił się ogier — żarł czyste ziarno, nie oszczędzając gospodarza, ale nie stanowiło to nawet czwartej części zysku. Reszta zapelniała spichrz, pomnażając bogactwo, sławę i szczęście rodziny Marciniaków. A sława i rozgłos ich nazwiska szły istotnie daleko... W Zarzeczu i sąsiednich wsiach odmieniano jego nazwisko we wszystkich przypadkach. Mówilo się: Marciniak pożyczyl, półparówka i ogier Marciniaka, rozmawiałem z Marciniakiem, prosiłem Marciniaka o siewnik, odprowadziłem Marciniakowi miedlarkę, o Marciniaku pisa-
no w gazecie, że jest wzorcowym gospodarzem, u Marciniaka jest sad z 380 jakimiś bardzo wysokogatunkowymi drzewkami itd.

O kimże zresztą mieli ludzie mówić? O Majchrze? Że mu zmarła żona i dzieci poszły na służbę, a

sam popadł w kompletną nędzę? Po co o takim mówić?

W 1936 roku Marciniak dał ludziom szczególną okazję do mówienia o sobie. Zdecydował się bowiem na nową, znaczniejszą rozmiarów operację gospodarczą. Postanowił kupić młyn. Natychmiast przystąpił do ściągania rozproszonych po ludzich gotówki. Poza zyskami, które zdobywał normalnie z bardzo dobrze pracującego gospodarstwa (obrabianego bądź to maszynami, bądź to darmową siłą roboczą licznych dłużników), poza sumą w banku, pozostały do skwitowania pożyczki udzielone Majchrowi i innym chłopom zrujnowanym przez kryzys. I tutaj okazało się, że ziemia Majchra, Znyka, Wieczorka i Łapińskiego, czyli dłużników Marciniaka, od dawna przestała być ich własnością. Właścicielem jej w międzyczasie został właśnie Marciniak, który cierpliwie czekał na niespłacone procenty i który wreszcie zażądał regulacji powinności dłużniczych. Pożyczone 5 lat temu 9.200 zł zsumowane razem z procentami dały mu ponad 16 tys. zł. Co robić dłużnicy, niby właściciele gospodarstw, w chwili, gdy Marciniak żąda zwrotu pieniędzy? Proszą o prolongatę. W odpowiedzi przyjeżdża komornik. Część ziemi kupuje miejscowy sklepikarz, gajowy i pewien emeryt kolejowy, a część zabiera Marciniak. Ma do tego prawo. Wspaniałomyślnie pozwała Majchrowi pozostać w chałupie. Oddaje mu nawet do użytkowania jego dawną ziemię z tym, że będzie obecnemu właścicielowi płacić dzierżawę.

Patrząc na turkoczący młyn stary Marciniak przebiegał już kryzysową cenę pszenicy. Nauczył się również rozumować jak przedsiębiorca-kapitalista, nie gołe morgi przynoszą zysk, a pieniądze, przy których pomocy odbiera się innym ich dochody, przy pomocy których z obcego pola ściga się plony do własnego spichrza.

✱

Stary Marciniak należał tylko do straży ogniowej i Kółka Różańcowego. Młody, Kółko Różańcowe zamienił na Rolnicze, bo widział tam okazję do wzbogacenia swojej wiedzy rolniczej. Lubił też słuchać o Witosie i jego działalności. Impomował mu ten chłop z jakichś tam Wierchosławic, kumając się z panami, reprezentował interesy takich jak on bogaczy. Głosował też na „Piastą” w 1928 r.

W 31 roku zapisał się do Stronnictwa Ludowego, które akurat w tym czasie zjednoczyło się, likwidując dotychczasowe rozbiście na „Piastą”, „Wyzwolenie” i tzw. „chłopowców”. Wiś cała, to znaczy wszyscy chłopci w Zarzeczu — od Marciniaka począwszy, a na Majchrze i wyrobnikach skończywszy — „otrzymali swoją” reprezentację polityczną w postaci Stronnictwa Ludowego. Marciniak z miejsca się wyróżnił. Jeździł na wiece, prenumerował czasopisma, płacił składki, zabierał głos w dyskusjach. Z czasem zdobył sobie w powiecie opinię gorliwego ludowca, a we wsi pozycję prezesa Koła.

Nagabywał go kiedyś miejscowy kierownik szkoły, który był powiatowym komendantem „Strzelca” a jednocześnie prawie, że przyjacielem Marciniaka — dlaczego siedzi w S. L.? Przecież rząd opiekuje się nim, rząd pomógł mu w ściąganiu prawie już przepadłych pożyczek, rząd daje mu licencję na rozpłodni-
ki itp. Dlaczego zatem odnosi się do niego opórzycjnie, siedząc w S. L.?

Marciniak odpowiedział na to prosto — ja nie robię tak, jakby mnie się podobalo, ale tak, jak podobają się okolicznym chłopom. Ponieważ najwięcej jest tutaj ludowców, więc młynarz do którego wożą ludowcy mąkę, właściciel ogiera, przeznaczanego dla klaczy ludowców, właściciel maszyny, młócejącej



Wyzyskiwani przez Marciniaka

zboże ludowców, musi być również ludowcem. To pomnaża zysk co najmniej o 40 proc.

Po amerykańsku — sędzi Marciniak droga, na jakiej spodziewał się zwiększyć zyski i dochód. Raz tylko zachwiał się w stosunku do Stronnictwa Ludowego.

Było to w 1937 roku. Masy chłopskie przystąpiły do strajku rolnego. Manifestowały swoją nienawiść do rządu faszystowskiego, do granatowej policji, do egzekucji podatkowych, do wyzysku, krzywdy i niesprawiedliwego ustroju. Instynkt klasowy pchał wyniszczonych kryzysem małorolnych do buntu, do rewolucji. Tak również było i w

(Dokończenie na str. 5)



MIKOŁAJ NIEKRASOW

NA WSI

1.

Czyż nie jest to klub wroniego plemienia, Gdzie naszej cerkwi wznoszą się kamienie? Chociażby dzisiaj... po prostu nie.zzzczęście! Głupie krakanie, wrzask dziki, szalony... Z całego świata, wydaje się, wrony Wieczorem lecą wciąż gęściej i gęściej. Spójrz — ciągną jeszcze, siadają szwadrony Na blachach kopuł, szeregami na krzyżu I na dzwonnicy, na chatce w pobliżu. Drag chwiejny sterczy przy płocie, przed bramą, Dwie siadły na nim — usiedzieć nie mogą, Machają skrzydłami... Znow wszystko tak samo, Jak było wczoraj... posiedzą i w drogę. Dosyć lenistwa! Dość wronich widoków! Już, chwala Bogu, odeszły stąd chmury, Pójdę na pola, wiatr ucielił u góry. Zrodził się dzisiaj wśród dżdżystych obłoków Dzionek nieszczęsny i zwiędły w zarości: Na próżno w błocie przemokłem do kości. Chciałem pracować, wysiłek — chybiony. Spójrz, już i wieczór — unoszą się wrony... Przy studni widać staruszek dwie głowy, Dajno! Przystanę, posłucham rozmowy...

2.

— Dzień dobry, rodzona. — „Jak żyje się, kumo? Czy oplakujesz go co dzień? Snaż, gorycz po sercu i chodź i duma, Niby gospodarz w zagrodzie.” — Ach, jakże nie płakać? Zginął już, grzeszna! Duszyckę ból gniecie świeży... Umarł, Kasjanowna, ach, umarł, serdeczna, Umarł i w ziemi już leży!

— Na taką bestyję natrafił — i zginął! Czy syn mój nie był udany? Czterdzieści niedźwiedzi zmógł sam rohatyną — Raz chybił, padł rozszarpany! Płecy — na sażeń; drzwi głową potrącał; Ręka żelazna, żylasta. Umarł, Kasjanowna, ach, umarł, płacząca — Dzień mija i noc trzynasta!

— A skórę niedźwiedzia z ostatniej wyprawy Zawieźli sprzedać na rynek. — Ruble za duszę oddaliśmy Sawy, Niech wieczny ma odpoczynek! Łaskawa dziedziczka Maria Romanowna Dała na piękne egzkwie... Umarł, gołąbko ma, umarł, Kasjanowna, — Do wsi dowlókłam się ledwie.

— Wichura potrząsa izdebką ubogą I stara stodoła się zgina. Jak gdyby szalona, przed siebie gdzieś drogą Pobiegłam, szukając syna. On wziąłby siekiere — ociosał bierwiona, Matkę pocieszyłby nieraz... Umarł, Kasjanowna, ach umarł, rodzona, — Już chyba sprzedam siekiere.

— Ach, nikt nie przygarnie samotnej staruchy. Znędziałam — i co dzień mi gorzej. Na jesień wilgotną, za zimny podmuchy Któż drwa porąbie, ułoży? Na nowe futerko któż w leśnym zakątku Zabije zajączków kilka? Umarł, Kasjanowna, ach umarł, gołąbko, — Strzelba zmarnuje się tylko!

— Czy wierzysz rodzona: świat obrzydł z troskami, Ni dni spokojnych, ni nocy! Położę się w izbie, nakryję siłkami Jakby całunem sierocym. Lecz śmierć nie przychodzi... Dokucz szalona Wciąż błądząc pod różne strzechy... Umarł, Kasjanowna, ach umarł, rodzona, — Ech! Gdyby tak nie bać się grzechu...

— I tak... przekolatać tę zimę daj Boże, Nie deptać mi młodej trawy! Pół moich ubogich już nikt nie zaorze I runie dach bez naprawy. Do miasta chce jechać Maria Romanowna, Na święcie żyć nie mam siły... Umarł, gołąbko ma, umarł Kasjanowna, Nie kazał, bym długo żyła —

3.

Płacze starucha. A cóż mnie do tego? Cóż jej żalować? — Tu nie ma pomocy. Ciało zmęczone i słabe ostrzega, Ze na spoczynek czas. Po krótkiej nocy Na płożenia dzień muszę być gotów, Snem twardym tylko do świtu spać mogę. Już się szykują wrony do odlotów, Raut zakończony... Hej, ruszajże w drogę! Wzniosły się wszystkie z krakaniem szerołim. Równaj szereg! — I stado gdzieś leci: Zdaje się, między chmurami i okiem Zawisły czarne sieci.

Przełożył Aleksander Rymkiewicz

JAN SKALSKI

ROK URODZAJU

Bogaty był gospodarzy planu drugiego roku Planu Sześcioletniego.

Nasi ludzie wyprzedzali czas. Rok produkcyjny nie pokrył się z rokiem kalendarzowym. Wygraliśmy po dziesięć, piętnaście, trzydzieści a nieraz i więcej dni.

W zeszłym roku o tej porze daleko jeszcze było do wykonania planów skupu zboża. W tym roku olbrzymia akcja dobiega końca.

Zmienił się przez ten rok wygląd naszego kraju, zmienił się i jego budowniczowie.

Podobnie jak wyniki produkcyjne cieszy nas fakt, że wzrósł najcenniejszy kapitał narodowy — ludzie. Twardą szkołą był rok 1951. Wysokie i ambitne postawiliśmy sobie zadanie — podnieść o 23,4 proc. produkcję.

Wroga postawa państw imperialistycznych, które złamały szereg umów handlowych w celu zdeorganizowania naszych planów i zahamowania

metody Kowalowa w polskich kopalniach, by nową techniką i nauką podeprzeć inicjatywę Alfreda Kawczyka.

Na wystawę księgarń wchodziła książka Scibora-Rylskiego „Węgiel”. „Półkłada Joanny” ukazywał nowe możliwości starego Morcinka. Górniczy dyskutował „Jana bez ziemi” Jackiewicza, krytyka zjadła „Ludzi z węgla” Rydzewskiej. Cwiczyli swoje pióra: młody górnik — Włodzimierz Grab i racjonalizator hut „Zygmunta” — Teodor Gajda.

Górnik, hutnik, inżynier i pisarz stanęli w jednym szeregu frontu narodowego. Po raz pierwszy na wiosnę 1951 r. szła tak na Śląsku ręką w rękę produkcja i kultura. To mówi bardzo wiele.

W starych murach nowej, powołanej przez państwo ludowe do życia Kliniki Akademii Medycznej w Lublinie odbywa się zjazd chirurgów — wśród nich pierwszy narybek powojenny. Nowa inteligencja — chłuba socjalistycznego narodu zaczęła już spłacać dług zaciągnięty Ludowi.

W drugim okresie dwudziestolecia przedwojennego popularne były książki Dołęgi-Mostowicza „Znachor” i „Profesor Wilczur”. Bohater tych powieści świetny warszawski chirurg dwukrotnie stacza się ze szczytów kariery na dno upadku. Raz z powodu kłopotów małżeńskich, drugi raz wygrzyziony przez brudną konkurencję. Sławny profesor stacza się i upada — to znaczy — zaczyna leczyć chłopów na zapadłej prowincji. Raz, straciwszy na skutek wypadku pamięć, leczy ich jako znachora, drugi raz — jako cierpielnik z musu.

Zdaje mi się, że w powieści tej po zeszkrobaniu całego sensacyjnego błichtu drugorzędnej powieści mieszkańskiej można doszukać się jakiegoś znaku czasu, jakiegoś strasznego prawdy o tamtej rzeczywistości, jakiegoś opacznej „niezawinionej” przez autora satyry na ówczesne stosunki.

By biedota mogła być leczona przez wybitnego profesora, musiał on wprawdzie stracić pamięć, zwinąć karierę i stać się... znachorem.

Na wiosnę roku 1951 obraduje w Lublinie zjazd chirurgów, wśród których nie brakuje sław naukowych, radzą oni nad leczeniem pracującego człowieka miast i wsi, właśnie tego znachorowego pacjenta z przedwojennej powieści. Bo pacjentami dzisiejszych sław lekarskich są tacy jak syn średniolobnego chłopa Stanisław Czopeczyński z Glinnego Stoku, jak córka biedniaka — Emilia Cwiklińska. Żadne z nich przed wojną nie miałyby szans wyzdrowienia.

Ci młodzi ozdrowieńcy nie będą sobie nawet zdawali sprawy z tego, że mogliby być inaczej, że mogli być pozbawieni opieki lekarskiej. Wydaje się im zupełnie jasne, że szpital dla takich jak oni, stoi otworem. Ale na zjeździe chirurgów operowano także wyniszczonych łamami choroby i nędzy Stefana Furmaniaka małorolnego chłopa, który do dziś pamięta czasy przedwojenne.

Furmanik rozumie, komu zawdzięcza wyzdrowienie. Pochodzi z Jesionki k. Parczewa — to niegdyś była Polska B, to akurat takie same strony, jak te, w które schronił się znachor Dołęgi-Mostowicz. Niestety — Furmanik nie natrafił na takiego uczynnego znachora, przez 18 lat był kandydatem na stół operacyjny i przez 18 lat musiał cierpieć, zaciśniętą zęby i czekać... I doczekałby się śmierci, gdyby nie Polska Ludowa.



Furmanik czekał 18 lat. 25 lat czekał Antoni Jakubczyk z Wierzbic, chłop, z trzech hektarów — gdyby się spóźnił o kilka dni do kliniki straciłby na zawsze wzrok.

Ale nie tylko to jest wspaniałe, że dzisiaj 70-80 proc. pacjentów kliniki lubelskiej stanowią pracujący chłopi. Również wspaniałym jest fakt, że coraz szybciej powiększająca się liczba młodych lekarzy to w przynajmniej części masie dzieci chłopskie i robotnicze. Tak się ma rzecz z chlubą Akademii Medycznej doktorem Wandą Stefanową i z młodszym asystentem Januszem Kowalskim, synem drobno-rolnika z Łopienka Dolnego, w powiecie krasnostawskim.

Tak wyglądają nowi ludzie w starych murach nowej kliniki. Taką jest inteligencja i takie jej działania. Ale nigdzie tak mocno nie wyraża się „nowe” jak w starych, odmieńcionych przez Polskę Ludową, obudzonych powtórnie do prawdziwego życia i do działania ludziach.

Oto w Kłonicy, pow. radomszczański, przewodniczącą Prezydium Rady Narodowej zostaje małorolna Kołodziejczykowa, przezwycięża biurokracizm zawodowego urzędnika — sekretarza Prezydium Witeckiego, chwyciwszy swego kolegi Mokrasa, aktywizuje mało i średniolobnych, walczą o obsadzenie nimi komisji gminnych, opiera się znowie wroga klasowego — wielki temat pisarski, przez nikogo nie tknięty. Temat wielki — bo Kołodziejczykowa nie jest wyjątkiem — jest typem, bo przez nią przemawiają wielkim głosem czasy.

Plebiscyt pokoju stał się egzaminem świadomości narodu. „Znowu jestem w trójce — pisze zasłużony działacz i korespondent chiński Seweryn Skulski. — Ale to już nie jest ten czas, w którym niekiedy ciężko było uzyskać tu i tam podpis pod apelem sztokholmskim”.

Wspaniały akt woli narodu budującego w pokoju socjalizm wykazał, że ludzie świadomi naszej pracy i walki zaczynają liczyć na miliony.

Iluż pracujących Polaków mogłoby powtórzyć za Pawłem Czesławem, robotnikiem z Kalwarii: „mam dwóch synów”, którzy uczą się na mechaników i jak tak patrząc na swoją wsi, po gminie, po powiecie, jak to i owo słyszę, jak to i owo czytają, to widzę, że jest czego bronić. Przecież takiego czynnego udziału mas w życiu narodu, nigdy nie było.

Dziś, to każdy chłop, każde dziecko wie, co to jest Nowa Huta, co Plan 6-letni — wszyscy się tu interesują, bo to wszystko jest nasze. Jest ogromna zmiana z czasami przed wojną i ja tę zmianę widzę”.

Przed lokalem plebiscytowym w Czerniewicach korespondent zapytał średniaka Marchwińskiego, dlaczego podpisuje kartę plebiscytową:

— Pewnie wam spalił stodołę w czasie ostatniej wojny?

— Nie spalił.

— Albo uszkodził wam dom?

— Nie uszkodził.

— Może straciłście kogoś z najbliższych?

— Bóg ocalił, nie straciłem.

— To dlaczego podpisujecie?

Zamiast odpowiedzieć Marchwiński ciągnie korespondenta za rękaw i przez płot pokazuje obsiane pola.

— Widzicie te grunty? Pomyślcie, ile to trzeba było użyć nawozów, ile kosztowała praca ludzi i maszyn, jakie w tej ziemi leży do-rodne ziarno selekcyjne. Jest więc o co walczyć obywateli?

Jest o co walczyć. To zdanie przewijało się przez wiele wypowiedzi, a świadczyło nie tylko o tym, że ludzie znają cenę pokoju i cenę wojny, ale i że żyli się już i związali na śmierć i życie z tym „nowym” co przyszło po wojnie, a ich obrona pokoju, to nie innego, jak właśnie obrona tego „nowego”.

W tym roku Państwo Ludowe z troską i zapobiegliwością mądrego gospodarza uchwaliło przeprowadzić wielką akcję skupu zboża do dnia 31 grudnia. Wieś nasza stanęła przed wielkim egzaminem.

Jeśli zeszłoroczny skup przeciągał się do wiosny bieżącego roku, jakie mamy gwarancje, że tym razem będzie inaczej? — pytał chłopek.

Sołtys Wojciechowski z Broniowa, pow. Radom, którego nazwano później nie bez racji bogackim adwokatem, już wtedy głową kreślił. Jakże to? Żelazną zasadą polityki gospodarczej było przecież: Trzymaj zbo-

Taki Jan Gorajec z Kościelnika Wielkiego, który na 6 ha zakontraktował w 1951 r. 10 tuczników. Taki Antoni Czyż, średniak z olsztyńskiego, doskonały hodowca trzody, plantator buraków i kierownik zespołu samokształceniowego. Taki Stanisław Nikodem ze wsi Dębina w rzeszowskim, który mając zaledwie 2,8 ha ziemi ornej wyhodował w 1950 r. 6 tuczników, z czego 5 zakontraktował i odstawił do spółdzielni, a w roku bieżącym z zakontraktowanych 5-ciu tuczników odstawił już przedterminowo przed dożynkami 2 sztuki, wykonując nadto plan odstawił w 520 proc. i dostarczając ich 105 kg. Nikodem to jednocześnie przodownik uprawy buraków cukrowych, rzepaku i pszenicy. Sieje ziarno tylko kwalifikowane, propaguje je i rozprowadzając wśród sąsiadów. A oto małorolna (półtora ha) Maria Jaskółska z Białego Boru w woj. bydgoskim, matka 6-ga dzieci, kierowniczka produkcyjnej grupy plantatorów roślin kontraktowanych. A oto średniak z olsztyńskiego Jan Szulecki, dawny robotnik rolny, dziś średniak 10-cio hektarowy, wzorowy gospodarz, hodowca i plantator, który już do września wykonał i przekroczył plan skupu zboża, dostarczając 180 procent wyznaczonego ziarna. Szulecki, to przodujący, znany i aktywny działacz z ZSCh.

Historia życia tych ludzi — to pasjonujące tematy literackie, bo w nich odbija się jak w zwierciadle epoka, jej trud i jej wielkość.

Co jest wspólnym i charakterystycznym znamię tych przodujących w produkcji chłopów? Czy tylko wysokie plony? Nie! Przede wszystkim uderza nas, że są to chłopi-działacze, chłopi-agitatorzy, chłopi-nauczyciele. Na tym polega ich nowość w naszej wsi. To są chłopi, którzy, obojętnie, czy już w spółdzielni produkcyjnej czy jeszcze poza nią, nie chodzą już w pojedynkę. To nie są samotne dęby w martwej porębie — lecz żywi ludzie skupiający koło siebie gromadę, pracujący razem z gromadą, prowadzący gromadę. W tym leży ich siła i w tym leży siła „nowego” na wsi.

Tacy właśnie chłopi w imieniu swych milionowych mocodawców złożyli na dożynkach ślubowanie, że obowiązku względem państwa dopełnią. Miesiące następne pokazały, że nie było to głoślowe ślubowanie, że składał je nowy, świadomy człowiek. Sołtys Wojciechowski dokształcał mądrych kucyków, ale przecież dialektyki go nie nauczyli. Nie rozumiał nasz sołtys tego, jak to być może, że właśnie w okresie największych trudności, gdy pan Bębenek — gromadzi bogactw znow zaczął odzykiwać języka w gębie i radio głośno nastawiać, kiedy ludzie na polach kopali kartofle jak ulegalki, kiedy wcale nie było wesoło z orką i siewami — właśnie wtedy — urosli i pokazali się tacy ludzie jak Nikodem i Szulecki, jak Ratajczak i Jaskółska.

Nie rozumiał sołtys Wojciechowski, że słońce i deszcz te same, ale ludzie już nie ci sami. Zrozumiał to dopiero na zebraniach gromadzkich. Powstawali tam z miejsc tacy chłopi jak małorolny Jan Kaniewski ze wsi Wyrab pow. Sokółów — co miał już śmiałość powiedzieć bogaczowi Dąbrowskiemu: „Skończyły się czasy twojego wyzyskiwania i posługiwania się nami! Chłobasie, abymyś za ciebie wykonał plan i żył w twoim domu w Warszawie, aby mogły się uczyć? Nie, tak nie będzie i ty musz wykonać obowiązki, jakie na ciebie nałożyło państwo”.

Potrąfili ludzie zobaczyć popleczników bogaczy i na urzędach i instytucjach gminnych i zrobić z nimi porządek. Na początku roku Kołodziejczykowa toczyła walkę o dopuszczenie mało i średniolobnych do rady, o wyrobienie w nich gospodarskiej odpowiedzialności za to, co się w gminie dzieje. Taka walka toczyła się nie tylko w Kłonicy. W jesieni pokazało się, jakie ona miała wszędzie wielkie znaczenie. Codziennie prasa przynosiła dziesiątki przykładów aktywizacji chłopstwa.

W Gorzkowicach (pow. Piotrków) chłopi skrytykowali pracownika gminnej spółdzielni Raczka za niewywiązanie się ze sprzedaży zboża. W gminie Dymyń (pow. Kielce) spowodowali usunięcie nieuczciwego klasyfikatora w Centrali Mięsnej, w Woli Lipowskiej zmienili kierownika grupy hodowców.

Na sołtysa Wojciechowskiego też przyszła kreska. Zdemaskował go ostatecznie korespondent chiński i wykazał, jak kosztom małorolnych zmniejszał kulałkom Bębenkowi i Jaworskiemu normy odstawy zboża na podstawie fikcyjnego podziału majątku.

Zdemaskowali się i odpadli w walce wrogowie i ich poplecznicy. Wychowali się i doszli do głosu nowi wartościowi ludzie. Pokazało się, że nawet takie trójpierzmierze jak — kulałk, susza i „Głos Ameryki” nie potrafią załamać naszych gospodarzy planów.

Wyznali s'niejsi z prób niż byliśmy przedtem. Rok 1951 wbrew klimatycznym warunkom będzie w ostatecznym bilansie rokiem urodzaj. Urosły w nim Zerań, Lublin, Nowa Huta, urosł człowiek.

Urosł człowiek do nowej walki.

Jan Skalski



Fot. E. Golaszewski

ANDRZEJ PIECZYŃSKI

W SANDOMIERSKIM

Z A stołem w mieszkaniu, siedział sołtys Ziolkowski wraz z kilkoma znajomymi. Była niedziela. Towarzystwo podpiło nieco i języki rozwinęły się na dobre. Nie pozwolono nam mówić — za to mówiono do nas gremialnie, głośno, z szeroką gestykulacją.

— Wy, aż z Warszawy! Dobra. Opisacie wszystko tak, jak jest. Nasza wieś była w zeszłym roku pierwsza i w tym roku też będzie... O, nie boja się, my rozumiemy, że państwu trzeba dać, nas nie trzeba usławić. Odezwijemy się wszystkim. I kartofle i zboże. Będziemy mieli zbiorową odstawę. Wszyscy dadzą... wszyscy. Nikt się tu nie wykręca i nie wykrepi. Ja o demokrację od początku walczę...

— No dobrze, a ileście zboża odstawił?

— He, ile?... Niedużo, bo maszyn nam nie dają.

Teraz wszyscy poczęli wykrzykiwać. Z wielu głosów wysłuchać można było taką treść: o 200 m. od wsi przebiega linia wysokiego napięcia, a gromada, mimo, że składała podania do PRN i WRN — nie elektryfikowana. Maszyn nie ma. SOM obiecał i nie daje.

— Łapami — wołał jeden z gości Ziolkowskiego, pokazując wielkie ręce — nie omówcie choćby chęcią. Będą maszyn — będzie zboże. Inaczej nie z tego.

Stoczniovec ze Szczecina, tow. S. nie brał dotąd udziału w pogawędce. Siedział zachmurzony. Przyjechał organizować zbiorową odstawę — a tu: brak maszyn — i klapa.

— A kulałk nie macie między sobą? — odezwał się teraz.

Śmiech. Spojrzeli po sobie. Znajdą się na tym.

— Był tu u nas taki jeden — zaczął sołtys — Wojski się nazywa. Maszyn miał. Pół wsi obrabiał. Wszyscy u niego pracowali. Ale teraz zmienił się. Ma 9 ha. Maszyn pożyczają... nawet mnie pomagają...

— Nie jest to „były kulałk”. Ma co prawda 9 ha, ale handluje: koniami, maszynami, zbożem, świńcami. Nikt go za rękę nie złapał — ale ludzie wiedzą, że cwaniak, przebiegły, wygadany. Przeszłość ma prawdziwie kulałk: szabrownik, kontrrewolucjonista, rozbójca, mściciel. I teraz maci, dlatego wieś zboża nie odstawi. Mówi: „kontraktujcie”. Złe?

Dobrze mówi... Ale po cichu, przy okazji dodaje: „bo zaliczke zawsze ci dadzą, a czy ty dasz, to zobaczysz. Wiesz, co jutro będzie?” Mówi: „Bierz bydlę na wypas do Centrali Mięsnej”. Zle mówi? — Dobrze... Ale potem szepcze po wsi: „Bydło zawsze będzieś miał przy sobie — a jutro co będzie, wiesz?”. Taka to jest ta jego złośliwość — dywersyjna agitacja, „za kontraktacją”, „za wypasem”.

Widzą jego krecią robotę towarzyszy: z partii i sekretarza Podstawowej Organizacji Partyjnej. I Wojski też wie, że go widzą, więc broni się tym, że pisuje do jednego z poczytnych czasopism chłopskich...

— Co robić? Aresztować? Rozkulać? Nie, towarzysze, Gryfic nie będę robił i prawa łamał... On wrośł w gromadę, jak pijawka. Trzeba go oderwać i odizolować. I organizacja partyjna, — jak się ją zaktywizuje — zrobi to.

Towarzysz S. zamyślił się chwilę, a potem wykonał ręką półokręgi ruch i płaską dłoń uderzył w stół. Ruch taki wykonują ludzie, którzy po przemysieniu czegoś uznają, że tak właśnie być powinno, jak pomyśleli.

*

Sandomierszczyzna to lessy, które „same rodzą”. Krajobraz tutaj senny, lasów mało. Wsie położone w szerokiej wleńbieniach, których brzozy łagodnie wynagają się ku górze. Ziemia ma kolor miedzi. Może dlatego zdaje się, że ciężka. Płaskie grzbiety wzniesień i szerokie, płytkie, rozległe doliny czynią wrażenie, że ziemia ta otwiera się, dała do siebie pełny dostęp światłu i powietrzu, aby nieść ludzom plony...

— Ale plony nie szły jednak obficie do miast, do państwowych magazynów.

Martwił się tym pełnomocnik w gminie Wilczyce. Czyż nie bił kulałków? Czyż nie karał ich za opieszałość w dostawach zboża? Czyż nie przeprowadzał u nich egzekucji za zaległości podatkowe? Czyż nie piętnował ich w prasie wojewódzkiej, ostrzegając przy okazji opornych chłopów średniolobnych?

Pojechał śmy z pełnomocnikiem powiatowym do Wilczy. — Więc twierdząc, towarzyszu, że bijecie kulałk — mówi pełnomocnik

powiatowy po wystąpieniu krótkiego sprawozdania pełnomocnika gminnego, towarzysza K.

— Pewnie. Bilem go i biję...

— A skutki nie masz?

— Słabo. Coś tu u nas w gminie nie jest tak, jak być powinno.

— Pewnie. A chłop jak się do tych ukaranych odnosi? Co mówią o karach?

— Mówią, że słusznie są karani oporni bogacze...

— Do kogo to mówią i gdzie?

— A do mnie, tu. Przyjdzie który, to powie... Po wsiach się jeździ, gada z ludźmi, to mówią...

— A aktyw co mówi?

— Aktyw? Po co pytać? Przecież to ludzie usławił...

— A na zebraniach mówiliście o tych sprawach, mobilizowaliście aktyw gromadzkich, organizację masową przeciw kulałkom?.. Na organizacjach partyjnych, w ZSL-owskich kołach stawialiście sprawy tych, których zamierzaliście ukarać?

— Prawdę mówiąc, nie.

— Widzicie: słusznie, żeście karali, a niesłusznie, że to była akcja tylko administracyjna. Agitacja — to u was były rozmowy prywatne. A kara powinna być pełna: nie tylko przepis prawny, ale moralne potępienie opornego bogacza przez opinię gromadzką, masową robotą polityczną — usławiadającą, pełną mobilizacją organizacji partyjnych. Tego u was nie ma, i tego wam trzeba. Zróbcie to.

Trwa już od godziny zebranie gromadzkie. Powiat „dobija” do 90 proc. i partia mobilizuje gromady do szybkiego osiągnięcia granicy, po której osiągnięciu następuje zwolnienie od miarki i odsypu.

W sali szkolnej światło niezbyst widne i dym od papierosów. Za stołem siedzi sekretarz Podst. Org. Part. PZPR. Idzie zawzięty spór o miarkę i odsyp. Ktoś mówi:

— Sprawiedliwość musi być!...

Dlaczego mamy czekać, aż cały powiat wykona? Kto odstawił, tego niech zwalniamy od miarki i odsypu. Wykonał swoje, powinien mieć ulgę.

— Kulałk będzie ci dawał swoje na przemiał?

— Pożycz ci przy okazji?

— Można to załatwić. Niech gmina wydaże zaświadczenia ile kto może znieść: meter, dwa. Tyle ile mu potrzeba. Sprawiedliwość musi być!

Sofer nachyla się do mnie i mówi:

— Co on mówi, cholerniku!

Na sali panuje cisza. Obrótna „sprawiedliwość” ogłasza się, czy wszystkich już przekonał. Ale w milczeniu sali czuje się protest. Słychać szepoty, potem głośniejsze szemrania i pojedyncze głosy.

Obywatele! Kto chce mówić — niech prosi o głos — ogłasza sołtys. Znowu cisza. Potem nagle z końca sali pada głos:

— Tak nie może być!

Wszyscy oglądają się.

— Co to za gadanie, żeby każdy osobno! Wszyscy musimy wykonać! Co ma kto na zbożu biednego jechać i swoje metry mieć. Niech nam tu nikt ślipów nie mydli. My wiemy kto na tym skorzysta — a państwo straci na pewno.

Na sali coraz gwarniej.

— Kto chce kulałkowi pomagać niech od razu powie!

— Kto zalega, niech tu przeczytają.

— Czytać! Niech wszyscy wiedzą!

Sekretarz rozpoczyna czytanie listy. Padają nazwiska i ilości kilogramów, których jeszcze nie odstawiło. Na sali uciszyło się.

Do stołu podchodzi 70-letnia Anastazja P.

— Mówię teraz, bo się nie boję i widzę, że jest nasza ludowa władza, a nie jak przed wojną. Powiem jedno: chłopy dawaliście zboże! A szczególnie ci, co tam na końcu sali siedzą. To kulałcy! Bukowski, Wojewski, Dułgołęcki, Koleczkowski. Niech się nie chowają za plecami! A jak im wstyd niech wiozą zboże!

Na końcu sali poruszenie. Niektórzy wychodzą. Niektórzy chłopcy zrywają się z miejsc.

— Nie uciekaj! Zboże i tak odwiezie!

— Pójdźcie do was i w oczy jeszcze raz powiem...

Wstaje kulałk. Udaje, że nie nie rozumie. Jest mały, szcypuły. Oczy ma trochę wystraszone. Przez chwilę mruga nimi.

— Czy ja mówię, że nie odstawię? — rozpoczyna powoli — Ja...

— To odstawiaj!

— Odstawiaj, nie gadaj tu!

— Odstawiaj!

— Odstawiaj!

Andrzej Pieczyński.

IRENA MATYSIAK

„GWIAZDY W JEZIORZE”



Wanda Wasilewska

Pisarstwo Wandy Wasilewskiej należy do rzędu niewątpliwie najcenniejszych osiągnięć na linii walki o literaturę socjalistycznego realizmu. Powieści jej spełniają stosunkowo najlepiej podstawowe założenia realizmu socjalistycznego o partyjności literatury. Wysoka ranga artystyczna, umiejętność władania żywym słowem i tworzenie zeń sugestywnych, prawdziwych w swej typowości obrazów artystycznych, sprawia, że książkę czyta się jednym tchem. Marksistowska, naukowa ocena życia społecznego, umiejętność wyznaczania człowiekowi właściwej roli i miejsca w procesach rozwojowych, decyduje zaś o jej najbardziej adekwatnym społecznie odbiciu rzeczywistości w twórczości Wasilewskiej, decyduje o miejscu tej twórczości w procesie tworzenia socjalistycznego społeczeństwa, o jej funkcji społecznej, jej wartości jako narzędzia konkretnej walki klasowej, walki o nowego człowieka. W swojej literackiej praktyce zawsze stała Wasilewska na pozycjach walczącego proletariatu. Nie będąc członkiem KPP stawała się jej konsekwentnym ideologiem na terenie literatury. Problematyka wiejska takich jej powieści jak: „Ojczyzna”, „Ziemia w jarzmie” szła w ścisłym związku z taktyką KPP, obnażała na polu feudalnej sprzeczności dworu i wsi, parła całą siłą ku ich likwidacji.

Społeczne i artystyczne doświadczenia pisarstwa Wasilewskiej, rozpoczynające się w najkrytyczniejszych dla naszej literatury latach pięćdziesiątych, stanowią doskonałą, zbieżną historię tamtych czasów, o trudnej walce proletariatu o wolność społeczne. Stanowi ją nie tylko chronologicznie i problematycznie, ale i stylistycznie, drugą trylogię pt. „Pieśń nad wodami”.

*

Pierwsza część trylogii pt. „Pomiędzy wami” w szerokim epickim ujęciu pokazuje ciężki żywot wsi ukraińskiej włączonej w ramy państwa narodowego w latach poprzedzających II-gą wojnę światową. W „Gwiazdach w jeziorze” — drugim skrócie ilustruje przebieg wojny 39 roku, z demaskatorskim realizmem odsłaniając istotne, klasowe korzenie przyczyn klęski w zdradzie sanacyjnych sfer rządzących. Kazuje przewrót jakiego dokonuje się ukraińska w oparciu o dołączenia i pomoc Związku Radzieckiego, likwidując wielką własność ziemską, oraz podejmując walkę z zacofaniem i ciemnotą wsi. Połosać kolonialnej polityki polskiego obszarnictwa.

Książka pokazuje ogólne procesy rozwojowe życia tzw. kresów wschodnich — ziem w imię imperialistycznych, wielkomocarstwowych zapędów naszego kapitalizmu włączonych w obręb państwa polskiego, wskazuje także specyficzny charakter walki klasowej na tych terenach.

Sprawa walki o wyzwolenie społeczne łączy się tu nierozdzielnie z walką o wyzwolenie narodowe. Tym bardziej, że wieś polska — była najczęściej biedniakami, elementem kapitalistycznym reprezentującym zaś polski obszar i często zbliżony ekonomicznie do kulaka — polski osadnik. Wasilewska nie uprasza jednak sprawy i rysuje sylwetkę ukraińskiego kulaka, lojalnego obywatela sanacyjno — kapitalistycznej Polski i równie lojalnego zdradcy interesów wsi, w stosunku do którego rząd nie stosuje bynajmniej terroru, jakiego w skali masowej używa wobec biedniaków. Przeciwnie, kosmopolityczny kapitał patrzy na sprawy wsi ukraińskiej jako na teren eksploatacji, widzi w kulaku Chmielańszczyzny swego naturalnego sojusznika i darzy go zaufaniem.

Sprzeczności klasowe i narodowe były zatem szczególnie ostre. Jeśli się przy tym zważy dużą rolę, jaką w procesie budzenia świadomości politycznej odgrywały kontakty ze Związkiem Radzieckim, zrozumiałym jest, że w kulaku Chmielańszczyzny swego naturalnego sojusznika i darzy go zaufaniem.

Politykę sanacji demaskuje w powieści nie tylko sojusz z Chmielańszczyzną ale i sprawa Chorzyniaka. Chorzyniak to małorolny chłop małopolski. Jego interesy na pewno nie pozostają w sprzeczności z interesami biedniackiej wsi ukraińskiej. Tymczasem przysyłany do Olszyna ja-

ko osadnik, obdarzony hojną ręką państwa serwitutową ziemią, staje się automatycznie z jednej strony wrogiem wsi (jako kulak), z drugiej prowadzonym na pasku dłużnikiem — sługusiem kapitału. Chorzyniakowi przypadnie w udziale odziedziczone wizerowanie biedniackiej wsi, nieludzką wyzyskiwaną przez kapitalistycznego aferażystę — inżyniera Karwowskiego. Jest rzeczą zrozumiałą i konsekwentną z takiej sytuacji wynikającą, że Chorzyniak stanie się w końcu rzeczywistym wrogiem wsi, że z chwilą wkroczenia Armii Czerwonej nie pozostanie mu nic innego jak ucieczka w szeregi dywersantów.

Zasługą autorki jest to, że potrafiła dokonać typizacji postaci, spraw i sytuacji, tak dalece, że pozwoliło to na pokazanie obrazu rzeczywistego życia, na odsłonięcie i zdemaskowanie ustroju, który krzywdzi ludzi, stwarza sztuczne zapory i granice pomiędzy narodami. Fakt, że autorka potrafiła wcielić w artystyczną konstrukcję książki swój głęboki internacjonalizm, że ogromny ładunek prawdziwego humanizmu zawarty w książce jest dostępny każdemu człowiekowi, stanowi najpoważniejszą jej zdobycz.

*

Sprawa, która znalazła również szerokie i równie słusne odbicie w książce jest proces przekształcenia wsi w kierunku budownictwa socjalistycznego społeczeństwa i socjalistycznej kultury. W Olszynie pod wkroczeniu Armii Czerwonej organizuje się twórcza praca. Sprawy toczą się wartko. Najpierw parcelacja dworskiej ziemi, potem organizacja szkoły, kursy, przedszkola, budowa klubu, świetlicy — oto kolejne etapy przebudowy.

Wiemy dobrze jak często w naszych powieściach o produkcji gubi się człowiek, jak redukuje się jego rola na rzecz procesów rozwojowych społeczeństwa, wiemy też w jak bardzo szkodliwy sposób odbija się także zachwianie proporcji między poszczególnymi elementami dzieła na jego ideowej i artystycznej budowie. Książka Wasilewskiej wolna jest od takiego schematyzmu. Człowiek jest w niej pierwszą i najważniejszą przyczyną dziejących się wydarzeń. Widzimy go zawsze na tle rozwijającego się wokół niego i dzięki niemu życia gromady. Widzimy jak w procesie nowego budownictwa, w procesie pracy, narasta i kształtuje się jego świadomość społeczna, jak powoli nikną przyzwyczajenia i pozostałości z lat nędzy i bezsilnej nienawiści.

Śledzimy na kartach książki ideowe i organizacyjne wyrywanie się Parukowej, nieświadomością początkowo chłopki, związanej z przebudową o tyle tylko, o ile to łączyło się z bezpośrednią, namacalną korzyścią. Widzimy wyraźnie „rośnięcie” Oleny, dla której sprawa kształcenia się w pracy społecznej bardzo prędko stanie się zagadnieniem naczelnym, sprawą jej ludzkiej godności i szczęścia.

I tak w stosunku do wszystkich występujących na terenie książki postaci. Wszyscy pokazani są w rozwoju, działalność ich w zależności od związania się z którąś z walczących sił społecznych będzie służyła sprawie postępu albo wsteczności.

Znajomość człowieka i daleko posunięta wrażliwość na procesy psychologiczne pozwoliła autorce dać ludzi tak urzekających prawdziwych jak Piotr Iwańczuk. W głęboko ludzkich dziejach Piotra zamknięte są losy całego pokolenia współczesnych mu rewolucjonistów — proletariatu. Od KPP-owca i wieźnia sanacji, poprzez okres rozgoryczenia, wyrasta na aktywistę politycznego, który nie zawaha się w momencie próby przekreślić swoich osobistych sentymentów, którego twórcza, zahartowana walka postawa „rodzi optymizm i wiarę w ostateczne zwycięstwo. W koncepcji Iwańczuka przejawia się zdolność Wasilewskiej do tworzenia prawdziwych postaci ludzkich, polegających na zachowaniu oczywistych, ale i bardzo skomplikowanych związków, jakie zachodzą między życiem społecznym, a osobistym poszczególnego jednostki, na nierozdzielaniu tych składowych elementów życia, ale pokazaniu ich we wzajemnej łączności, jako czynników kształtujących świadomość człowieka.

*

Pozycję dosyć nieoznaczoną zajmują w „Pieśni nad wodami” Jadwiga Płonska i jej matka. Socjologicznie biorąc są to reprezentantki zdeklasowanego ziemiaństwa, kulturalnie umieścić je można również na linii tradycji wywodzącej się z dworu szlacheckiego. Jadwiga usiłuje w okresie swojej młodości do Piotra wytańczyć się z nęcią, ale ostatecznie rezygnuje z walki. Bierna, kontemplacyjna, nawet cierpienna postawa wobec życia nie pozwala jej na wyjście poza zaczerpnięty krag spraw zupełnie już skończonych. Stara Płonska żyje właściwie blaskiem dawnej pozycji, dawnego dobrobytu, Jadwiga nie pamięta i nie wierzy w owo „minione”, ale obojdwie nie potrafią myśleć o przyszłości. Bije od tych kobiet atmosfera szczytów, epigonizmu. Czy są one wyrazem świadomości, zamierzonej postawy autorki i jej przekonania o skończoności historycznej roli klasy, czy też jej niedokreślonego nigdy do końca stosunku do inteligenta? Zapewne i jedno i drugie. Rola inteligenta w społeczeństwie burżuazyjnym jest chwytana i tak też wystąpi ona w powieści Wa-

silowskiej, i to nie tylko ostatniej, ale również w pozycjach wcześniejszych. Inteligenci Wasilewskiej pozostają niezdeterminowani, nie umieją się opowiedzieć po żadnej ze stron walczących. Tylko nieliczni — jak Stefek Płonski — potrafią stanąć na pozycjach proletariatu. Autorka wstrzymuje się od ich oceny i umiejscowienia w układzie sił społecznych. Wiedzę o życiu tych ludzi czerpie z „myślenia”, względnie monologowania. Brak tu zarówno wystarczającego wymownych sytuacji obiektywnych, jak i intelektualizowanego, ideowego komentarza autorki. Chwytem, który umożliwia tę nieinterwencję pisarza w sprawy bohaterów jest mowa pozornie zależna. Mowa pozornie zależna jako środek artystyczny pozwala pisarzowi powstrzymać się od oceny. W klimacie książki Wasilewskiej taka postawa autora jest nie do utrzymania konsekwentnie na dłuższą metę. Jednak partie w których występuje Jadwiga i Zabielski, utrzymane w toku relacji pozornie zależnej, mają wiele ideologicznych niedopowiedzeń. Szczególnie niepokojącą postacią jest Zabielski. W zamierzeniu autorki jest on reprezentantem szerokiego kręgu inteligentów rozbitek, którym klasa wresztniowa otworzy oczy na cały szereg spraw, pozwoli z jednej strony dojrzeć, że zostali potwornie oszukani przez swe dowódców, z drugiej, że jedynie realną i słuszną jest walka przeciw faszyzowskiemu najazdowi, w stosunku do wszystkich wrogów mi siłami społecznymi, a więc w danym wypadku, razem z chłopstwem ukraińskim. W praktyce Zabielski nie dorosnie do tych pozycji ideowych, jak przeciwstawiony mu marginesowo porucznik występujący w obronie chłopów. Rozpacz wobec klęski narodu wyhoduje w jego nieszczęsnej, skołowanej, obalamowanej głowie pomysł straszliwych zbrodni „pacyfikacji” ukraińskiego chłopstwa, wyczekującego Armii Czerwonej. Subiektywna klasowa rozbijka i zbrodnia szaleńcza nie zostają naświetlone jednoznacznie przez autorkę. Nie została tu rozstrzygnięta podstawowa sprawa patriotyzmu i nacjonalizmu w świadomości Zabielskiego. Obraz września 39 roku widziany jego oczyma nie może być prawdziwy, bo Zabielski jest tylko człowiekiem zdruzgotanym, którego nie stać na trzeźwą ocenę spraw. Odczuwa się tu wyraźnie brak odautorskiej oceny wydarzeń.

*

Poważnym wkładem w walkę o nową literaturę jest właśnie miejsce, jakie na terenie swej powieści przyznaje autorka społecznie twórczej roli samokrytyki, odwodnego wytknięcia nieościgniętych bohaterów reprezentujących tendencje postępowe. Ogromne znaczenie krytyki tego typu, jako niezbędnego elementu składowego w dziele literackim podkreślała ostatnia narada Związku Literatów Polskich, podkreślał szczególnie Jerzy Andrzejewski w swoim przemówieniu, wskazując, że właśnie nieadekwatność krytyki w stosunku do własnych pozycji jest bardzo często przyczyną ideowego i artystycznego niedowładu dzieła. U Wasilewskiej ten typ krytyki jest bardzo silny. Skierowany on jest przede wszystkim pod adresem Owsejienki — reprezentanta Partii, organizatora początnych gromad, dotyczy zresztą również i innych postaci, np. agitatora z Łucka. Krytyka Owsejienki przeprowadzona jest z pozycji walki ze wszelkimi przejawami biurokracji i świadomej, bądź nieświadomej dezercji politycznej. Owsejienko występuje początkowo jako „dusza człowiek” — choć trochę pedant, trzymający się litery prawa, trochę demagog niedocenający roli kolektywu. Odważna, wnikliwa krytyka Wasilewskiej pokaże jak z pozycji oderwanego od mas biurokraty, niebezpiecznie łatwo jest przejść na służbę wroga klasowego. Owsejienko dobiegający sobie figurant kolektyw, powodowany był niewątpliwie tylko ambicją — ale Owsejienko otomany zrzędną siecią intryg Chmielańszczyzny, Owsejienko kumający się z kulakami przeciw interesom wsi, to już niewątpliwie wróg. Krytycyzm w stosunku do własnego obozu jest twórczy, budzi czujność, wskazuje bez wygaszania referatów — które zawsze muszą w powieści — na konieczność pracy kolektywnej.

„Gwiazdy w jeziorze” stanowią jedno z kluczowych ogniw rodzącej się nowej literatury socjalistycznej, literatury będącej orężem w wielkiej ofensywie kulturalnej walczącej o nowy ład świata. Znaczenie jej jest tym większe, że jest to książka, która na pewno trafi do rąk masowego czytelnika. Prosty, komunikatywny język, interesująca skomponowana akcja, w której właściwie, centralne miejsce znalazła sprawa przełomu pomiędzy dwoma formacjami społeczno-ekonomicznymi, sprawa prawdziwego pokazania klasy dokonującej rewolucji, decydują o wartości powieści, która w każdym calu związana jest z walką proletariatu.

Irena Matysiak.

STANISŁAW KOWALEWSKI

„S Z K O Ł A”

(Fragment opowiadania)

IDZIEMY, chłopcy! Idziemy — pokrzykiwał niecierpliwie przewodnik.

Zebrał się już wszyscy z Jastrzębia, razem było ich siedmiu. Stali teraz na środku wsi, przed domem sołtysa i zęgnali się ze swoimi. Janek spojrzał przelotnie w oczy siostry, zażawione, jasne.

— Dobrze mi będzie. Nie się nie martw — powiedział, ale jakoś bez wiary w te słowa. — Naokoło słyszał głosy zęgnających, zadyszane, pełne przestrogi, napomnień.

— Już my tu niepotrzebni. Jesień — powiedział jeden z kolegów Janka, Staśko Włodarczyk, wysuwając się z objęć matki.

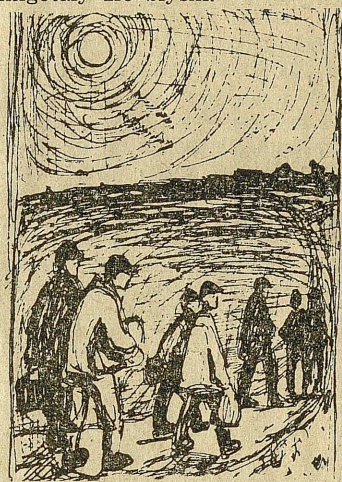
— Owa, niepotrzebni! Tu zawsze jest co robić — obruszył się któryś z gospodarzy. Ale przerwał mu sołtys:

— Nie kłóćcie chłopcom w głowach. Zdecydowali się jechać, niech jadą.

Stojący pod rozłożystym kasztanem młody Grabski, najlepszy we wsi harmonista, zawołał z drwiną w głosie:

— Ze wspólnego kotła wam żrę dądzę, chłopaki. Do roboty okrutnej popędza, to się wam odechce. Jeden z drugim w dyrdy tu wracać będziecie!

Siedmiu zuchom uczyniło się jeszcze markotniej, choć wiedzieli przecież, że Grabski lubił i maciwoła. Tylko Włodarczyk nie wytrzymał. W jego niewielkich swych oczkach zamigotały złe błyski.



Rys. Janina Ignatowska

— Wrócimy, albo i nie wrócimy. Jak nam będzie wola. Ale jak już wrócimy, to i w wasi będzie inaczej. Jeden z drugim kulacki synek też w opłotkach nie będzie wystawał i zębów suszył.

— Do mnie pijesz? — Grabski poruszył się leniwie przy płocie.

— Do kogo trzeba — to piję — rzucił Staśko i kładąc kraciastą, wytartą kulackówką na swoje kręcone, jasne włosy krzyknął jeszcze:

— Jak przyjdziemy do wsi, a w mundurach, i z forsa — gasy takim różnym się powyracają. I harmonię też sobie kupię. Jak się patrzy. Albo i akordeon.

Grabski stał w milczeniu z pogardliwym uśmiechem. Ale na wzmiarkę o harmonii twarz mu poczerwieniała. Pochylił się, zerwał długą wyschniętą trawę i wstał w usta. Chciał tym okazać przeciwnikowi całą swą lekceważenie. Wsparł się łokciami o płot. Z kuszuli wychylił się szeroki mięśisty kark. Ciemne, wysadzone trochę na wierzch, bezczelne oczy, z ironią patrzyły na zebranych.

Dosyć zęgnania! Jeszcze po drodze musimy zabrać chłopów z dwóch gromad — wołał przewodnik.

Janek raz jeszcze uścisnął siostrę. Pogłaskał po głowie siostrzanego dzieciaka, Antosia.

— Nie się nie bój — powtarzał, ale bał się zażreć w jej oczy, tyle w nich było żałości.

— Napisz, jak jest — szepnęła siostra.

Janek bez słowa chwycił kuferek, trącił w bok swego przyjaciela, Staśkę. Ruszyli. Za nimi inni.

Spód nog wzbijał się syk, srebrny jak popiół, kurz. Z sadów i ogrodów ciągnęła maciejka. Szli nie oglądając się za siebie.

Zaraz po przybyciu do szkoły chłopcy dowiedzieli się, że o ich przyjeździe zawiadomiono dyrektora dopiero na dzień przedtem. Zaszło nieporozumienie, gdyż poprzedniego dnia opuścił szkołę ostatni turnus i cały gmach miał zostać poddany zwyktemu w tych wypadkach dwutygodniowemu remontowi.

Na klatkach schodowych kręcili się ludzie zaczynający dopiero swą robotę. Na salach sypialnych stały łóżka bez pościeli, gołe materace i zagłówek. Personal szkoły biegł zaferowany. Dyrektor, niski tysiający blondyn, przywitał transport chłopów paru zaledwie zdaniem. Twarz miał niewesołą. I to powitanie szkoły ostatecznie zaważyło na nastroju Janka.

Nie miał ochoty do żartów z kolegami. W głowie błakały się niejako jeszcze myśli. Zadrżała Ignasiowa jego szybkiej decyzji. Wtedy, wprost z wagonu łatwiej było uciec.

Wyobraził sobie, że z kufkiem w ręku próbuje się wymanować z gmachu i nagle na drodze spotyka niskiego, łysiejącego dyrektora. Co mu powie? Ze się rozmyślił? Za odpowiedź go nie zadowolili. A jednak decyzja dojrzała. Uciec stąd. Uciec. Polewał głowę, barki i plecy zimną wodą z kranu. Co pewien czas patrzył z obrzydzeniem pod nogi. Keflowa posadzka była pokryta była błotem.

— Jak świnia... jak świnia... Myje się człowiek w tym błocie — mruczał ze złością.

To błoto pod nogami rozgoryczyło go jeszcze bardziej.

W umywalni pustoszało. Janek zaczął się ubierać. W chwili gdy głowę wynurzył z kuszuli, spotkał na sobie czyjś uważny wzrok. W drzwiach umywalni stał dyrektor z drugim jakimś mężczyzną, ubranym w sportowy jasny garnitur.

— Co tu się dzieje? — zawołał nagle dyrektor tubalnym głosem w kierunku Janka.

Janek nie wiedział, czego dotyczyło pytanie. Zresztą w tej chwili był tak zły, że nawet go nie speszyła obecność dyrektora. W odpowiedzi wyruszył tylko ramionami.

— Błoto w umywalni! Błocko jak w bajorze! — krzyknął znów dyrektor i spojrzał surowo na Janka wąskimi niebieskimi oczyma.

— Pewno, że błocko — odrzucił Janek.

— Jak ludzie chcą się myć w umywalni nie w chlewie, to co robią?!

— Robią porządek! — z równą pasją odparł Janek. — Ale ja tu brudów nie naniosłem. Inni tu bruli, bawili się.

— Bawili się! — podchwycił dyrektor. — No, macie, znależli zabawę — powiedział w kierunku jego mościa w sportowym ubraniu. Rozjeżdżał się po umywalni, oprócz Janka było tu jeszcze paru chłopów.

— W tej chwili macie tu zrobić porządek! Umywalnia ma być taka, jak była reno.

— Nie wiem, co tu było rano — zaczął Janek. — Jak przyszedłem wszędzie leżało błoto.

— Tak — powiedział cicho dyrektor. — To nie wiecie? Więc ja wam powiem. Rano tu był porządek, zupełnie porządek! — nagle na twarzy wystąpiły mu rumieńce. Dopiero teraz widać było jak ogarnia go gniew.

— Czynię was odpowiedzialnym za to, żeby tu za dwie godziny, zanim podadzą obiad, z powrotem było czysto — zwrócił się do Janka.

— Nie ja brudziłem, nie ja będę sprzątał. Niech porządkują ci, co tu broili — hardo postawił się Janek. Poczuł jak po tych słowach czerwienieją mu uszy, a po chwili całą twarz oblewał war.

— Aha, synu — dyrektor pokłamał głową na pozór spokojnie. — To już twoja rzecz. Jak chcesz, idź wymacz tamtym, co narobili błota, żeby tu przyszli uporządkować. Ale to twoja rzecz. Ja ci tylko od siebie poradzę...

— Kiedy ja nie będę — zawołał Janek.

— Posłuchaj najpierw, co ci chcę powiedzieć, synu. To, że tu obok szkoły jest brzozywy zagajnik, to raz z brzozywych witek dobre miotły, to dwa. A tu o, wąż — służy do polewania, dosięgnie w każdy kąt sali, to trzy. I jeszcze jedno. Jak mówisz, że nie będziesz, to nie masz racji. Żle chyba trafiłeś tutaj. Bo tu od dziś jest twoja szkoła. I tamci, którzy nabłocili, to twoi kolezdy, gornicy. Ty za nich, a oni za ciebie odpowiedzialni. Rozumiesz, synu — uśmiechnął się jakoś krzywo i nagle zwrócił się do stojącego obok mężczyzny w sportowym ubraniu.

— Idziemy.

Wyszli z umywalni.

Janek zamiatał z wściekłością. Jeden z kolegów stał obok i polewał posadzkę. Janek czyścił ją zbrodną naprędce miotłą.

— Takis mocny! Dyrektorowi się postawiłeś, a teraz zamiatasz, że haj! — roześmiał się drwiąco kolega.

— Zamiatam, bo brudy — uciął krótko Janek.

— No, dobra, dobra. Zamiatasz, jak władza kazala i koniec.

Janek odrzucił zużyta miotłę.

— Pójdę jeszcze po nową — powiedział kolegom i wyszedł szybko z umywalni.

Nawet odpocząć człowiekowi nie dadzą po podróży. Długo tu nie będą — odgrażał się wciąż w myślach.

Po drodze idąc korytarzem mijali wpołtuchowe drzwi kotłowni. Przy piecach zobaczył dyrektora i jego towarzysza. Żywo rozmawiali. Słychać podniesiony głos dyrektora zatrzymał się na chwilę.

— Nieuwaga? O nie. Dwa tygodnie dali nam na remont. Cała pościel po poprzednim turnusie odesłana do pralni. Dziś przychodzą hydraulicy i specjaliści od centralnego. Malarze mają malować sale i już się wzięli do roboty. Wszystko pozamawiają. Ja z głęby cholewy robić nie mogę. Remont się robi, część pracowników z kuchni na urlopek, a tu po odejściu tamtego turnusu przysyłają mi nowych. Siedmiuset chłopów z całej Polski. I co mam robić? Nie nie przygotowane. Dwa tygodnie będą ich tu trzymać zanim rozpoczną naukę. Wy mówicie, towarzyszu, że czyjaś nieuwaga. Siedmiuset chłopów trzeba wyżyć, to kosztuje? Nie nie zorganizowane, nie mogą iść na kopalnię. Będą mi się tu pętać, łazić po mieście i tylko słuchać wrogich szeptałów. Z tych siedmiuset, ilu mi się przez te dwa tygodnie pourwa? Wrog nie śpi, tylko na takich poluje.

Janek stoi i chłonie zdanie za zdaniem, wszystko co mówi dyrektor.

Ładnie to będzie kosztować. Mówicie, że winię kogós tam od góry. A ja wam powiem — gładka robotą, udana robota. Nam po łapach. Państwo zapłaci za dwa tygodnie bałaganienia się tych chłopów. I dajemy do rąk karty dywersantom. Tu już są tacy. Chłopcy przyjechali i co? Aut na dworcu nie było, przychodzą do szkoły — cmentarzyko. Łóżka bez pościeli, jedzenia nie ma na czas. Tak ich tu witamy my, szkoła górnicza. Od razu mają do nas żal. I słusznie. Słyszeliście, jak mi się sta-

wał w umywalni ten co mu kazałem zrobić porządek. Stawiał się i miał rację. Jak go tu przyjeźliśmy? Wzięło chłopaka, zły był.

— Zły — potwierdza ten w sportowym ubraniu.

— Zły chyba tak, jak i ja — rzucił dyrektor. — Ale zrobi to, co mu powiedziałem. Ja ich znam.

Janek nie słucha więcej słów dyrektora. Serce zaczyna mu bić gwałtownie. Trudno mu w tej chwili uprzytomnić sobie własne uczucia. Właśnie tylko jedno — umywalnia musi być sprzątnięta, sprzątnięta jak należało.

Wspina się szybko po schodach prowadzących na górę. Spada z gmachu internatu i leci w stronę w kierunku brzozywego lasu. Już po chwili wraca ze świeżym i czystym witek.

Z pasją zaczyna szorować podłogę umywalni.

— Coś się wściekło! — pytają koledzy. — Zdażymy.

— Jak ja robię, musi być porządek — gromi ich.

Białe kwadratowe kafelki posadzkę lśnią czysto. Brud spływa wartko pod strumieniem wody. Janek bosy, z zawiniętymi nogawkami spodni macha ręką miotłą. Tak go zastaje dyrektor.

Zatrzymuje się na progu, surowy, ze zmarszczonymi brwiami. Rozgląda się krytycznie po umywalni.

— Tak — mówi — wolno — teraz z powrotem mogą się tu myć ludzie.

I niespodzianie na jego prostej twarzy pojawia się uśmiech. Janek spotyka spojrzenie dyrektora skierowane na siebie.

— Nie gniewajcie się, chłopcy, że tak na przywitanie, pierwszego dnia musieliście szorować umywalnię — mówi dyrektor już innym głosem. — Ale to, widzicie, też nauka. Wy się nauczycie, innych nauczycie...

Chwile stoł jeszcze w progu umywalni, jakby nie wiedząc, co powiedzieć chłopcom.

— Bo ja, widzicie, tak po prostu do was — znów się uśmiecha. — Ale pamiętajcie, że w tej szkole macie swojego dyrektora, chłopcy. Z wiochy jestem, tak jak i wy. Syn kulaka. U taty pięć morgów gruntu było i dziesięć gęb do żywienia.

Chłopcy naraz się rozjaśniają. Dyrektor kiwa głową.

— Tak. Głód z domu wygnął. We Francji byłem, chłopcy, na kopalni. I to nie żaden rebase, a prosty łopacz. Tak. Będziecie mieć dyrektora, łopaczarza”. I dlatego, chłopcy, chyba się dogadamy. I za to tu sprzątanie, też żalu mieć nie będziecie. To nasza szkoła, wasza szkoła.

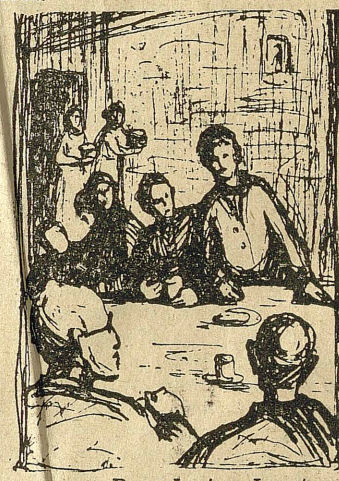
Na sali panuje już spokój. Jest późna noc. Ale Jankowi wciąż sen nie w głowie, leży na wznak z szeroko otwartymi oczyma.

Podkłada ręce pod głowę, jakby chciał się oddzielić od miękkiej, zachęcającej do snu poduszki. Ale już po chwili obraca się na bok. Patrzy z uwagą na sąsiednie łóżko, gdzie leży przyjaciel, Staśko.

— Spisz? — rzucił cicho. I zaraz słyszy odpowiedź:

— Nie śpię. A ty?

— Ja nie mogę. Jakoś tak myślę sobie...



Rys. Janina Ignatowska

Przez chwilę leżą w milczeniu. Nagle Janek zaczyna:

— Wiesz, Staśko, ten Ptak niegłupio gadł. Ja myślę, że tu trzeba by coś i odnas.

— Co od nas? — przerywa Staśko.

— No, żeby tu czasu nie tracić przez te dwa tygodnie co idzie remont. Samemu pomóc, żeby przedzej poszło. Ten Ptak gadal... „na kopalni idzie o każda tonę”. A my tutaj... no, wiesz Staśko? Myślę, żeby nas tak już prędzej mogli puścić na kopalnię.

*

Rano przy śniadaniu w stołówce jest tłoczno. Co chwila słychać wybuchy śmiechu, gwar paruset głosów. Białe ubrane dziewczyny roznoszą kawę. Między chłopcami siedzi dyrektor.

Trudno jest mówić do tyłu, tyłu osób, kiedy się nigdy w życiu nie przemawiało. Janek wstaje z krzesła i z trudem przysyła ślinę. Na twarz występują mu rumieńce. Siedzący obok Staśko wali łokciem w kubek i krzyczy:

— Cicho! Cicho! Kolega chce mówić.

Na sali rozgwar stopniowo się ucisza. Wszyscy patrzą z zaciekawieniem na stojącego chłopca. Janek spotyka na sobie zdziwione spojrzenie jasnych oczu dyrektora.

Pokonywując oniesmielenie wyrzuca z zaciśniętego gardła:

J. SZCZEPAŃSKI

ZWIERCIADŁO SPOŁECZEŃSTWA

Książka *) składa się z trzech artykułów ogłoszonych w naukowych czasopiśmie radzieckich, a mianowicie: L. Kaszkarewa — Statystyka w pracach Marksa — Engelsa („Więstnik Statystiki” Nr 5, 1950), W. S. Niemczinow — Zagadnienia nauki statystyki w pracach Lenina („Lizwiestija Akademii Nauk SSSR — Otdielenie ekonomiki i prawa” Nr 5, 1949) oraz G. A. Podwarkow — Stalin a radziecka nauka statystyki („Więstnik Moskowskiego Uniwersytetu” Nr 1, 1950). Redakcja Biblioteki Statystyki tak określa zadania i „społeczny adres” tej książki: „Zadaniem jej jest wykazanie olbrzymiego wkładu, jaki wnieśli do nauki statystyki: Marks, Engels, Lenin i Stalin. Broszura przeznaczona jest dla statystyków i ekonomistów. Stanowi poza tym cenny materiał dla studiujących w szkołach typu ekonomicznego”.

Chciałbym wskazać, że wynikający z naukowego charakteru statystyki adres społeczny tej książki jest daleko szerszy. Statystyka radziecka jest bowiem ściśle związana z badaniami społeczno — ekonomicznymi, z jakościową analizą zjawisk i to właśnie powoduje, że broszura ta budzi zainteresowanie również szerokiego kręgu pisarzy i korespondentów, widzących swoje zadanie w opisywaniu i analizowaniu procesów społecznych i gospodarczych powstającego społeczeństwa socjalistycznego. Słowa Lenina: „Cały szereg zagadnień i to zagadnień najbardziej podstawowych, odnoszących się do ustroju gospodarczego współczesnych państw i jego rozwoju, które rozstrzygane były przedtem na podstawie ogólnych informacji i przykładów innych państw, nie mogą być obecnie jako takie poważnie opracowane bez uwzględnienia danych masowych zebranych dla całego terytorium danego kraju i według jednego określonego programu i zestawienia wspólnie przez ekonomistów i statystyków” — zachowują ważność dla wszystkich tych, którzy zajmowali się studiami i badaniami monograficznymi, badaniami nad ograniczonymi wycinkami zjawisk, dla pisarzy i korespondentów pragnących podnieść swoją pracę pisarską na wyższy poziom. Ze związku statystyki z jakościowymi badaniami społeczno — ekonomicznymi wynika również to, że omawiana broszura nie tylko przyczynia wiele wypowiedzi i tez klasycznych odnośnie założeń i teorii statystyki marksistowskiej, lecz ponadto znajdujemy w niej również wiele wypowiedzi klasyków, podkreślających doniosłość systematycznie prowadzonych badań społecznych i co więcej — wiele wskazówek jak prowadzić takie badania, jakimi dyrektywami się kierować w zbieraniu i opracowywaniu danych o procesach społecznych.

Z wielości zagadnień poruszanych w tej broszurze chciałbym zwrócić uwagę na trzy, budzące zainteresowanie nie tylko specjalistów statystyków i ekonomistów, lecz również szerszych kręgów ludzi, interesujących się systematyczną obserwacją życia społecznego, a mianowicie: 1) zagadnienie doniosłości statystyki i ujęć liczbowych we wszelkiego rodzaju badaniach społecznych i ekonomicznych, 2) zagadnienie doniosłości jakościowych badań społeczno — gospodarczych, jako koniecznego dopełnienia badań statystycznych, 3) zagadnienie roli statystyki w codziennym życiu społecznym w okresie budowy socjalizmu.

1) Jako reakcja na wypaczenia formalistycznego stosowania metod statystycznych i nieraz bezmyślnego stosowania matematyki w badaniach społecznych w Ameryce, przejawiającej się w Polsce tendencją do odrzucania statystyki w ogóle, do lekceważenia jej roli i ograniczania się w badaniach wyłącznie do metody historycznej. Niewątpliwie nie można zapominać o historyczności zjawisk społecznych, lecz stąd nie wynika, że nie można do ich badania stosować metod ilościowych. „Prawidłowość w dziedzinie zjawisk społecznych — pisze Niemczinow (str. 56) — mają przede wszystkim charakter historyczny i przejawiają się jako tendencja”. Lecz na innym miejscu podkreśla, że „Lenin świetnie władając metodą dialektyczną nieustannie wymagał, aby fakty statystyczne charakteryzowały tendencje rozwojowe zjawisk gospodarczych, a nie jedynie ich zastępczą formę”. Wynika stąd, że metody statystyczne oddają wielkie usługi w badaniu tendencji rozwojowych, procesów historycznych. „Statystyka społeczno — ekonomiczna to jedno z najpotężniejszych narzędzi społecznego poznania” — pisał Lenin. (Dzieła, wyd. ros. 3, t. XXVI, str. 173). „Trzeba umieć bez frazesów, bez wykrzykników, z faktami i liczbami w ręku wyjaśniać zagadnienia socjalizmu...” pisał Lenin na innym miejscu. „Lenin — pisze Niemczinow — przy rozwiązywaniu olbrzymiej ilości interesujących go zagadnień gospodarczych i politycznych, niezmennie powracał do analizy obiektywnych danych zawartych w statystycznych liczbach” (str. 38). „Ogromne znaczenie poznawcze faktów statystycznych polega na tym, że będąc jakościowo określonymi ilościami, pozwalają one na charakteryzowanie w liczbowy sposób zjawisk społeczno — gospodarczych, które nie dają się ująć i ocenić inaczej, jak tylko przez zastosowanie metody statystycznej”. Interesujące jest zwłaszcza stosowanie przez Lenina metody

statystycznej do badania zjawisk politycznych. Oto co pisze w tej sprawie Niemczinow: „Wyjątkowo interesujące są przekazane nam przez Lenina wzory wyboru „mierników”, używane w zastosowaniu do badań zjawisk politycznych. Rozważając kwestię siły rozmaitych prądów w ruchu robotniczym i podkreślając, że „... dla uświadomienia robotników nie ma ważniejszego zadania jak poznanie ruchu własnej klasy”, Lenin buduje tablicę złożoną z 15 wskaźników, określających obiektywną miarę siły różnych prądów w ruchu robotniczym (prawdźci, likwidatorzy, lewicowi narodnicy). Ten system wskaźników odzwierciedla w sposób prosty, obiektywny i ścisły wzrost i decydujący wpływ prawdziwego ruchu robotniczego” (str. 58).

Te kilka przykładów zacierpiętych głównie z prac Lenina wystrzącha dla wskazania zasadniczej roli metod statystycznych w badaniach społecznych.

2) Druga sprawa, nad którą zatrzymamy się dłużej to sprawa łączenia badań statystycznych z badaniami jakościowymi, opartymi o inne rodzaje materiałów. „Marks nigdy nie stał się niewolnikiem danych statystycznych” — pisze Kaszkarewa (str. 16). Próba zorganizowania wielkiej ankiety dotyczącej sytuacji robotników we Francji, opublikowana przez Marksa w Revue Socialiste w kwietniu 1880 r., próby zorganizowania badań wysuwane przez Marksa i Engelsa na kongresach Międzynarodówki świadczą dobitnie o tym, jaką ważność przypisywali twórcy socjalizmu naukowemu systematycznie prowadzonym badaniom społecznym. Tu również chciałbym podkreślić konieczność wydobycia tych projektów i wykorzystania zawartych w nich wskazówek metodologicznych do badań aktualnych. W instrukcji napisanej przez Marksa dla delegatów na Kongres Genewski czytamy: „Jednym z doniosłych przedsięwzięć proponowanych przez nas... jest statystyczne badanie sytuacji klasy robotniczej we wszystkich krajach, które powinno być podjęte przez samą klasę robotniczą”. Engels do napisania swej pracy o położeniu klasy robotniczej w Anglii wykorzystywał rozległe materiały a właśnie ta rozległość i wszechstronność badań zapewniała wysoką wartość naukową tej pracy, spowodowała że jest ona wstrząsającym i wszechstronnym obrazem i umożliwiła tej książce odegranie rewolucyjnej roli w budzeniu świadomości klasowej proletariatu. W r. 1845 w czasopiśmie „Zwierciadło społeczeństwa” założył stałą rubrykę „Opisy i notatki statystyczne”, gdzie zamierzał publikować nadsyłane korespondencje. Dla korespondentów Engels ułożył szczegółowy program pytań, na które mieli odpowiadać. Zadaniem tych korespondencji była pomoc „... w prawidłowym oświeceniu stosunków społecznych wszystkich klas... wyłącznie na podstawie faktów”.

CZESŁAW SCHABOWSKI

Odpowiedź

Na przestrzeni ostatnich lat, w niedużej gminie Sobieszów, pow. Jelenia Góra, można zaobserwować tak wielkie tempo przemian, że rozmach ten doprowadza uroga do szalu; bo co też nie wyprawiają te „nie umiejące rządzić chamy”!

Gminna Spółdzielnia Zw. Sam. Chłopskiej całkowicie wyrugowała prywatny, spekulacyjny handel i w miarę jak na to pozwalała ogólna sytuacja, placówki tej spółdzielni zapatrzały miejscową ludność we wszystkie artykuły pierwszej potrzeby;

— dzieci pracujących w dwu przedszkolach otrzymują dobrą opiekę i wyżywienie w czasie, gdy ich rodzice wypełniają normy i budują na swym odcinku Plan 6-letni;

— ziemia biedoty i średniaków oraz spółdzielni produkcyjnych gromad Marcey i Goduszyń, obrabiana jest już mechanicznie przez sobieszowską SOM;

— szkoły: siedmioklasowa normalna, wieczorowa dla dorosłych, Liceum Rachunkowości Rolniczej, Ośrodek Szkoleniowy Przemysłu Drzewnego przyczyniają się do podniesienia oświaty i wiedzy fachowej, realizując w pełni założenia Planu;

— kosztem półtora miliona zł (w starej walucie) przeprowadzono remont jednego ze starych budynków, dokonano w nim robót adaptacyjnych dla świątyni i obecnie mieści się tam także gminna biblioteka, z której młodzież i starsi korzystają jak rok długi;

— w świątyni tej co tydzień gości kino obyczajowe, grają przejdzie i miejscowe zespoły teatralne, odbywają się częste odczyty, dyskusje, zebrania GRN z udziałem mieszkańców Sobieszowa i gromad okolicznych;

— Gminny Ośrodek Zdrowia i przychodnia dentystyczna, to chluba nie tylko Sobieszowa, ale i powiatu Jelenia Góra: czystość, dbałość o każdego potrzebującego lekarskiej pomocy człowieka, skrupulatność w badaniach i zabiegach — oto cecha personelu lekarskiego i pielęgniarskiego tej placówki;

— w dawnej karczmie — tancba, dzie otwarto Rejonową Lecznicę Zwierząt, która w akcji hodowlanej położyła zastugi nie mniejsze od kon-

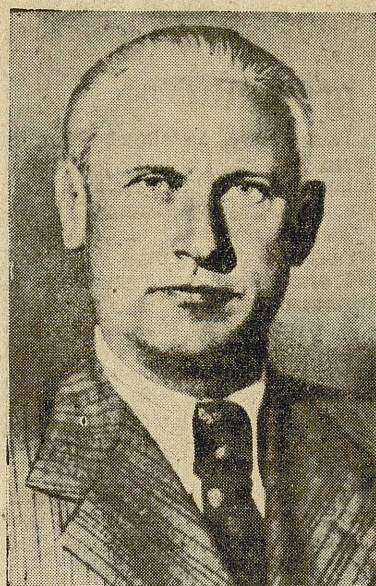
„Wysunięte przez Marksa i Engelsa wymagania konkretnego badania zjawisk, traktowanych w ich współzależności, stanowi jedno z najdonioślejszych zasad statystyki marksistowsko — leninowskiej” — stwierdza Kaszkarewa. Podobnie stawia sprawę Podwarkow pisząc: „Nie można jednak sprowadzać naukowego znaczenia statystyki tylko do wymagania od niej wiarygodnych, aktualnych liczb, ograniczając jej rolę do biernego ilustrowania zjawisk i procesów, bez wnikania w ich przyczyny i skutki”. Widzimy więc że statystyka bez analizy jakościowej, bez analizy historycznych warunków zachodzących procesów, nie może spełnić ani zadań naukowych, ani spełnić swej roli w procesie rewolucyjnego przebudowania społeczeństwa, kształtowania nowej świadomości społecznej.

3) Statystyka ma bowiem również do spełnienia ważne zadania wychowawczo — polityczne. Powinna ona budzić świadomość klasową proletariatu krajów kapitalistycznych, pokazywać „ruch własnej klasy”. Inne zadania spełnia ona w społeczeństwie radzieckim i krajach budujących socjalizm. Oto co pisze na ten temat Podwarkow: „Budowana na podstawie nauki Lenina i Stalina teoria radzieckiej statystyki uogólnia bogate doświadczenia zacierpięte z ewidencji procesu budowy najbardziej społecznego ustroju komunistycznego i jest istotnie potężnym środkiem kierowania prawami rozwoju ekonomicznego. Na wszystkich etapach walki o komunizm coraz bardziej wzrasta rola statystyki radzieckiej: 1) w przedstawianiu aktualnego i prawidłowego tła wszystkich ogniw ogromnego organizmu gospodarki narodowej w jego skomplikowanych powiązaniach i rozwoju, 2) jako podstawowe narzędzie uświadamiania i kierowania obiektywną koniecznością rozwojową; 3) jako bardzo wrażliwego instrumentu służącego do prowadzenia prawdziwej ogólnonarodowej kontroli toku walki o osiągnięcie celów nakreślonych przez państwowe plany, do wykrycia dodatkowych rezerw i zdolności produkcyjnych oraz do przewidywania zahamowań i dysproporcji, 4) w badaniu praw przyrody dla maksymalnego rozwoju produkcji sił kraju socjalizmu”.

Żeby statystyka mogła spełnić te zadania musi stać się dostępną dla mas. Nie może spełniać tej roli wiedza operująca analizami matematycznymi, lecz tylko wtedy, jeżeli znajduje odbicie na łamach prasy, w sprawozdaniach i raportach, w korespondencjach takich, jakie planował już kiedyś Engels. I właśnie dlatego, że broszura omawiana, wskazuje drogę dla statystyków, pisarzy i korespondentów, jak statystykę można uczynić narzędziem poznawania i przekształcania społeczeństwa, należy ją polecić szerokiemu kręgowi czytelników.

Jan Szczepański

50-ta rocznica urodzin Fadijewa



Aleksander Fadijewa

25 GRUDNIA 1901 r. urodził się Aleksander Fadijewa, jeden z najbardziej czołowych i popularnych pisarzy radzieckich. Nie ma czytelnika w Związku Radzieckim, który by nie znał książki Fadijewa. Ale i poza granicami Związku, wszędzie tam, gdzie dzieło pisarza wspiera walkę o pokój, czytają i kochają „Młoda Gwardia”. Fadijewa pokazał piękne charaktery młodzieży radzieckiej, ujął w wysokie wartości moralne, patriotyzm i bohaterstwo powstałe w warunkach ustroju socjalistycznego. Szlachetny to wzór do naśladowania i skarbnica cennych przykładów, które pozwalają kształtować młodzież w obecnej chwili i nas w Polsce w warunkach naporu uroga klasowego na odcinek młodzieżowy „Młoda Gwardia” stanowi dzieło o olbrzymiej doniosłości wychowawczej.

Dzieciństwo i lata chłopięce spędził Fadijewa w Dalekim Wschodzie. Wiek, położony w głębokiej tajdze, 120 kilometrów od kolei, stanowił teren pierwszych obserwacji ludzi i przyrody. W r. 1918 Fadijewa wstąpił do partii. W latach 1919 — 1921 bierze udział w bolszewickiej partyzantce na Syberii, walczy w szeregach Czerwonej Armii. Przeciwnie tego okresu stanowią wątek tematyczny twórczości Fadijewa przed Wielką Wojną Ojczyźnianą. W latach 1922 — 1923 powstaje powieść „Wylew”. W r. 1924 powieść „Pod prąd”. W r. 1927 ukazuje się „Kleska”, która przynosi pisarzowi szeroką poczytność oraz popularność i stawia go w

MARCELI RANICKI

NOWE TEMATY W LITERATURZE NIEMIECKIEJ

O ile jeszcze w pierwszym okresie powojennym problematyka hitlerowskiego wyrażenia dominuje w postępowej literaturze niemieckiej, o tyle w ostatnich dwóch latach zaobserwować możemy zwrot ku nowej tematyce. Problemy, jakie wytworzyła budowa demokratycznego państwa na zgliszczach hitlerizmu i walka z anglo-amerykańskim imperializmem, kontynuującym w Niemczech Zachodnich najgorsze tradycje faszyzmu — oto najistotniejsze sprawy, domagające się artystycznej odbicia i ukształtowania we współczesnym piśmiennictwie niemieckim.

Willi Bredel, pisarz rewolucyjny, którego każda nieomal książka to jakby jedno z ogniw ogromnego dzieła, obrazującego historię niemieckiego ruchu robotniczego od czasów Biebla po dzień dzisiejszy, Bredel, słusznie należący także i u nas do najpopularniejszych współczesnych pisarzy niemieckich — jest autorem pierwszego utworu powojennej literatury niemieckiej, poświęconego całkowicie nie obrachunkom z przeszłości, a nowej rzeczywistości niemieckiej. Jest to wydana również w tłumaczeniu polskim książka o zniszczeniu przez powódź turyngijskiej wsi Bruchstedt i jej bliskiej okolicy — budowie przez Wolną Młodzież Niemiec, reportaż „50 dni”.

Nowa tematyka, ukazująca istotę procesów społeczno — politycznych zachodzących we współczesnych Niemczech, podjął także utalentowany pisarz, były bojownik Międzynarodowej Brygady w Hiszpanii, Edward Claudius. Dał on w nieprzełożonych jak dotąd na polski język o charakterystycznych tytułach „Vom schweren Anfang” („O trudnym początku”) i „Mensch an unserer Seite” („Ludzie po naszej stronie”) plastycznie oddawał obraz niemieckich racjonalistów i przodowników pracy, ludzi zdających ku nowemu życiu i czynnemu udziałowi w budownictwie państwa demokratycznego.

O zwrócie zainteresowań ku nowej tematyce, jaką otworzyła rzeczywistość powojennych Niemiec, świadczy także dwa niewielkie utwory młodych pisarzy niemieckich, które ukazały się ostatnio w polskich tłumaczeniach, a mianowicie Herberta Langera „Odnalazłem siebie” i Petra Wippa „Rozstajne drogi” (2).

1) Herbert Langer: „Odnalazłem siebie”, tłumaczyła z niemieckiego Maria Gero, okładka i ilustracje Mieczysława Kocińskiego, str. 91. Wydawnictwo Ministerstwa Ob. Ony Narodowe, Warszawa 1951 r.

2) Peter Wipp: „Rozstajne drogi”, tłumaczyła z niemieckiego Maria Wiśniewska, str. 136. Spółdzielnia Wydawniczo-Oświatowa „Czytelnik”, Warszawa 1951.

pierwszym szeregu literatury radzieckiej. W okresie 1930 — 1936 Fadijewa zaczyna pisać powieść „Ostatni z Udege”, powieść obszerną, zakrojoną szeroko i dlatego jeszcze nie ukończoną.

Za swą pracę literacką Fadijewa został odznaczony orderem Lenina, wybrany prezesem Związku Pisarzy Radzieckich i wchodzi do Rady Najwyższej Związku Radzieckiego.

Będąc członkiem KC WKP(b) i jednocześnie przewodniczącym Związku Pisarzy, Fadijewa skutecznie kieruje życiem literatury radzieckiej i spełnia zaszczytną rolę pisarza w walce o pokój i komunizm.

W 1945 ukazała się najgłośniejsza powieść Fadijewa „Młoda Gwardia”. Odznaczona nagrodą stalnowską powieść ta uzyskała niebywałą popularność tak w Związku jak i poza jego granicami. Stanowi ona historię walki młodzieży radzieckiej z hitlerowskim okupantem i opanierając się na materiałach dokumentarnych, wydobytą z nich zarzekał się ideowość, patriotyzm i bohaterstwo młodzieży radzieckiej.

Przed ośmiu laty uczestniczył w patriotycznej organizacji młodzieży komunistycznej „Młoda Gwardia” — otrzymali zaszczytny tytuł BOHATERÓW ZWIĄZKU RADZIECKIEGO. Odnaczenie to zostało nadane pośmiertnie. Dzielna młodzież zginęła w walkach z hitlerowskim faszyzmem. Ale nie przemijające jest: obojętność i bohaterstwo, jakie cechowały O. Koszewoję, U. Gromową, L. Szeuowca, S. Tiulenina i innych. Ten właśnie wysoki przykład patriotyzmu, ofiarnego ukochania ojczyzny został otoczony powszechnym uznaniem i miłością narodu radzieckiego oraz całej postępowej ludzkości.

Przypomnijmy pokrótce bohaterstwo „Młodej Gwardii”. 20 lipca 1942 r. hitlerowcy zajęli miasto Krasnodon, położone w Zagłębiu Donieckim. W sierpniu bestialscy najeźdźcy żywym zakopali w parku miejskim 58 ludzi. Nastroje młodzieży radzieckiej wyraził wtedy najlepiej Oleg Koszewoj, wotując: „Nie podobna duszę cierpieć”. Szesnastoletni młodzieniec zawiązuje organizację podziemną; w sierpniu liczy ona 103 młodych komunistów. Jacy to byli młodzieńcy i jakie dziewczęta! Oto portret Koszewoju: sportowiec, szachista, redaktor szkolnej gazety, woroszyłowski strzelec, poeta, miłośnik literatury, szczególnie klasyków europejskich i Gorkiego. W tym portrecie poznajemy rysy młodzieży radzieckiej, u której ustrój socjalistyczny wykształcił naj-

Z prasy radzieckiej

lepsze cechy: PATRIOTYZM, MIŁOŚĆ NAUKI I SZUKA, SPRAWNOŚĆ FIZYCZNA, AKTYWNA POSTAWA WOBEC ŻYCIA.

Przez cztery miesiące „Młoda Gwardia” zadawała celne ciosy okupantom, napaść na hitlerowców, niszczyła wroga i gromadziła broń, żeby wywołać powstanie w chwili nadejścia Armii Radzieckiej. Ale na miesiąc przed jej przyjściem, w styczniu 1943 r., organizacja została wykryta. Zaledwie ośmiu ludzi ocalało. Olbrzymia większość jej członków zginęła w strasznych torturach z rąk gestapo. Zginęła bohatersko z piękną na ustach, nie wydając tajemnic walki niepodległościowej. Dopiero 19 marca 1943 r. odnaleziono zwłoki Koszewoju. Nośty ślady okrutnych tortur: oko wykute, włosy ościwiałe, na pierś wpalony ogień numer komsomolskiej legitymacji. Zginął w straszliwych męczarniach, ale nie ułaski się śmierci i nikt go nie wydał.

Znakomity pisarz radziecki A. Fadijewa opisał w swej książce pt. „Młoda Gwardia” te wydarzenia i fakty, ukazując je na tle walki całego narodu radzieckiego o wolność. Szlachetnie w cechach indywidualnych, autentycznych bohaterów powieści wykrył cechy typowe. W „Młodej Gwardii” odzwierciedlił i ukazał młode pokolenie radzieckie, promieniujące wartościami moralności socjalistycznej, pełne wysokiej, bezgranicznej miłości dla społeczeństwa.

Zmagając się z faszyzmem Koszewoj, Szeuowca, Gromowa i inni, wiedzieli, że walczą, aby pokonać faszyzm i przynieść światu wyzwolenie i pokój.

Przykład bohaterów „Młodej Gwardii” jest potężnym czynnikiem mobilizującym, ma wielkie znaczenie i dzisiaj, wobec niemych, zbrodniczych prób rozpętania nowej wojny przez imperializm amerykański. Życie i śmierć komsomolców Krasnodonu świadczą o tym, że bohaterstwa i patriotyzmu, ile gotowości do walki w obronie ludzkości tkwi w młodym pokoleniu. Ten zapal i bohaterstwo są rękojmią zwycięstwa, a zarazem stanowią groźną przestrożę dla agresorów.

Bohaterowie „Młodej Gwardii” żyją w naszych sercach, porywają swym szlachetnym, bojowym przykładem, wychowują i jednoczą młodzież w walce o pokój. Wraz z nimi wszyscy skupieni wokół sprawy pokoju, wołają głośno i zdecydowanie: NIE POZWOLIMY NA NOWĄ RZĘD, OBRONIMY DZIEŁO POKOJU!

Grzegorz Timofiejew.

wojennych Niemiec i jako taka jest — mimo znacznej niedojrzałości literackiej — także i u nas pozycją pozytywną.

Do młodego pokolenia pisarzy Niemieckiej Republiki Demokratycznej należy również Peter Wipp, autor szczególnie płodny. Wipp rozpoczął od pracy dziennikarskiej. Jego krótkie opowiadania i reportaże, publikowane w różnych pismach NRD, zyskały mu szybko sławę jednego z najdonioślejszych felietonistów i reportażystów demokratycznej prasy niemieckiej. Pierwsze książki Wippa wykazują jeszcze poważne braki artystyczne i ideologiczne. Autor w utworach tych („Bonnes”, „Ein Junge namens Peps” i innych) nie może się uwolnić od wyraźnych wpływów naturalistycznych, trudne zagadnienie traktuje po prostu, postacie rysuje schematycznie.

W tomiku „Rozstajne drogi” poznajemy Wippa jako autora miniatury opowiadań, migawek z codziennego życia dzisiejszych Niemiec. W obrazkach tych Wipp niewątpliwie wykazuje dojrzałe opanowanie zwielgłej formy, wykazuje umiejętność oszczędnego operowania językiem. Poszczególne migawki często razią zaskakującą ostrością obserwacji i trafnością sformułowań. Poszukiwanie oryginalnych rozwiązań i efektownych point sprowadza jednak autora niekiedy na manowce. Tak na przykład w obrazie „Buschorn taneczny na szkło” Wipp wpał w tani symbolizm. W innych znowu obrazkach razi zbytnia naiwność (migawka „Gdybym tylko miał ołówek” lub „Z próbą”).

W większości jednak migawek zawartych w tym zbiorze autor potrafił uchwycić typowe sytuacje w dzisiejszych Niemczech, ciagle jeszcze dzielonych przez anglo — amerykańskich imperialistów na strefy i sektory, potrafił nielicznymi kreskami wyrazić narysować postacie charakterystyczne, prawdziwe i typowe. Takie opowiadania jak np. „Pierwsza i ostatnia armata”, a zwłaszcza wzruszająca scena „Stary fotel”, pozostają w pamięci czytelnika i pozwalają przypuszczać, że autorowi uda się opanować także większe formy literackie, że nazwisko tego zdolnego pisarza jeszcze niejednokrotnie usłyszymy.

Zarówno książka Langer’a jak i książka Wippa — mimo różnych braków i niedociągnięć — ułatwiają nam zrozumienie przemian, jakie zachodzą w Niemieckiej Republice Demokratycznej, naszego sprzymierzeńca w walce z amerykańskim imperializmem, naszego sprzymierzeńca w walce o pokój.

Marceli Ranicki

*) Marksizm — Leninizm a statystyka ka. Biblioteka Statystyki. XV. Polskie Wydawnictwo Gospodarcze, Warszawa, 1951, str. 108. Przekład z języka rosyjskiego pod redakcją dra Kazimierza Romaniuka.

Czesław Schabowski

STEFAN WALICKI

Kino wrogiem życia kulturalnego?

Wydawało się nam dotychczas, że film jest jednym z najpotężniejszych środków oddziaływania kulturalnego, że świetlica czy dom kultury, który nie rozporządza kinem jako jednym ze środków oddziaływania, traci znacznie na swej sile atrakcyjnej, zubożając życie kulturalne mieszkańców danej gromady czy gminy.

Okazało się, że byliśmy w błędzie. Okazało się, że film jest wrogiem życia kulturalnego. Tak przynajmniej wynika z korespondencji kol. Jelonka z Porąbki koło Sosnowca.

„Jest we wsi Porąbka dom gromadzki. Znajduje się w nim duża sala teatralna ze sceną i pokojem za sceną. Jest duży korytarz i trzy pokoje na parterze oraz dwa pokoje na piętrze. Pomieszczeń jest dość ale też nie ma organizacji je zajmują. Mieści się tu ZSCH, Liga Kobiet, ZSL, ZMP i LZS. Była nawet świetlica gromadzka, a w niej gry i radio używane przez ZMP. W domu gromadzkim urządziło się zebrań, w których odbywały się wszelkie zebrania, to koncentrowało się całe życie kulturalne gromady. Tak było jeszcze przed rokiem. Później jakoś zaczęło to ucihać, zasympało. Naprawdę zrobiło się pusto w świetlicy, bo kto by tam zechciał iść do świetlicy czy na zebranie, kiedy kino gra taki śliczny obraz. Bo sale teatralną trzy razy w tygodniu zajmowało kino wiejskie, od roku przeniesione tu z innego zmniejszonego na skutek nieremontowania przez szereg lat, lokalu”.

Rozpoczęły się narady w Porąbce nad zmianą tego stanu rzeczy: „rada w radę — pisze kol. Jelonk — postanowiono, że ponieważ umowa z kinem wygasa w czerwcu, więc kino stosownie do umowy na sobie wyreperować podniszczony budynek kinowy, a lokal domu gromadzkiego opuścić, gdyż zajmowanie sali teatralnej i całego parteru przez każdą sobotę i niedzielę, wpłynęło na poważne osłabienie życia organizacyjnego i nie przyniosło spodziewanych dochodów gwarantujących samowystarczalność domu... Jeśli więc kino nadal będzie istniało w domu gromadzkim, to żadna organizacja nie będzie mogła urządzić zabawy, czy przedstawienia, nie mówiąc już o masowych zebraniach”.

Wynika więc jasno, że wrogiem nr 1 całego życia kulturalnego i organizacyjnego gromady Porąbka stało się nieoczekiwanie nieszczone kino.

Kolega Jelonk zna, zna życie swojej mady, umie dostrzec nurtujące ją elementy, bierze czynny udział w życiu społecznym. Ta ostatnia korespondencja jest wymownym dowodem, jakie zamieszanie poprowadziła w terenowych bukach życia kulturalnego, jak awionę są one opieki materialnej. Podobne sygnały otrzymujemy z innych miejscowości. W tym roku ZSCH w fundusze na opłacenie kierownika w świetlicy i wiejskich domów wry.

Wielki jasny: nieczynna świetlica, której pozostawiać (co z rąk i rąk nie wiadomo). Bibliotecznicowa licząca około 600 toż zamknięta na klucz, zamartożenie i samokształcenie w domu tak pusta, że nawet się dorozczy za kilka miesięcy, na dachu, z której coraz więcej kapka na podłogę, co dać, że jeśli tak dalej pójdzie, fufit zwał się na głowę, nie jako najgorszy rezultat, że gdyby usunąć z domu, to znów zaczęły się przeda, na scenie, wieczorki artystyczne, które dałyby pokazać na potrzeby domu... a dziś zebranie ułokaj ludzi już terze w tłumie oczekujących kasą kina i tam zostają a zebranie świetlica świecą pustkami”.

Widać z tej korespondencji, jak bardzo potrzebna jest komasacja i zespolenie pracy kulturalnej w terenie. Nie może dłużej trwać ten stan rzeczy, że film, biblioteka, świetlica, radio, życie teatralne itp. chodzą własnymi ścieżkami, często grząc się ze sobą i przeszkadzając sobie wzajemnie. Zbyt wiele miliardów złotych wydaje się dzisiaj w Polsce na kulturę, aby pozwolić na takie marnotrawstwo. Racjonalna organizacja życia kulturalnego terenu w jego podstawowych ośrodkach: świetlicach, domach gromadzkich i domach kultury jest niezbędnym warunkiem rozpoczęcia uławnie w okresie bieżącej zimy wielkiej ofensywy kulturalnej w całym kraju. Bez tej ofensywy kulturalnej, wykonanie wielkich i trudnych zadań trzeciego roku Planu 6-letniego w dziedzinie produkcji musiałoby stanąć pod znakiem zapytania.

Stefan Walicki.

Zawiadamy wszystkich prenueratorów naszego pisma, że począwszy od 1 marca w miesiącu br. urzędy pocztowe, oraz listonosze wiejskie i miejskie przyjmują wpłaty na prenumeratę w terminie do dnia 15-go każdego miesiąca na miesiąc następny i okresy dalsze.

Gazetka gminna

W imieniu gromady

My, chłopie gromady Bytowie, gminy Kamięnsk w powiecie piotrkowskim zawdzięczamy wiele władzy ludowej.

Pamiętamy jak to było np. przed wojną ze sprzedażą tuczników.

Kupił chłop za 60 zł świnie, hodował ją 3 miesiące i gdy wyprowadził świnie na targ, handlarze dawali mu za nią 60 zł albo i jeszcze mniej. Za darmo więc chłop przez 3 miesiące karmił świnia, nie licząc pracy włożonej w wyhodowanie go.

Dzisiaj za tuczniki otrzymujemy stałą i korzystną dla nas cenę, bez względu na to, czy jest mała podaż na spędzie czy też duża.

Dzięki rozwojowi przemysłu, dzięki powstawaniu olbrzymich fabryk, jak np. w naszym powiecie kombinat piotrkowski, na wsi nie ma już niepotrzebnych ludzi, tzw. zbędnych rąk, jak nazywano ich przed wojną. W czasach sanacyjnych olbrzymia większość chłopów naszej gromady żyła w nędzy i ciemności. O szkole i o pracy w mieście nie można było nawet marzyć. Dzisiaj 29 mieszkańców naszej gromady pracuje w przemyśle, 12 synów i córek chłopów uczęszcza do szkół średnich, a 1 uczy się na uniwersytecie.

Rozumiemy, że obowiązkiem naszym jest brać udział na równi z robotnikami w budowaniu silnej i bogatej Ojczyzny Ludowej.

Ten nasz udział, to podniesienie wydajności gleby, rozwijanie hodowli oraz sumienne spełnianie powinności wobec naszego państwa.

A więc, roczny plan skupu zboża zrealizowaliśmy w 103 proc., jesienią plan sprzedaży ziemniaków wypełniliśmy w 100 proc., oraz wpłaciliśmy należności z tytułu podatku gruntowego i wszystkie raty Narodowej Pożyczki.

Wypełniliśmy także jako jedni z pierwszych nasz obowiązek kontraktacji trzody chlewnej na I półrocze 1952 roku.

Wiemy bowiem, że ludność miast potrzebuje coraz więcej mięsa i tłuszczów i że hodowla przynosi nam poważne korzyści.

Kulacy usiłowali nam jednak wmówić, że hodowla nie opłaca się. Dzięki jednak organizacji partyjnej naszej gromady, Kołu Gromadzkemu ZSCH, których członkowie dokładnie wyjaśnili nam, z jakich ułp korzystać, otrząsnęliśmy się z tej wrogiel nam propagandy kulackiej.

Józef Ryl

Metodą walki — przykład

Z Łapanowa niedaleko do sąsiedniej Wolicy, Grabia, Kłęczan i Sobolowa. Gromady te nie różnią się od siebie. Wszystkie zajmują podobne tereny góryste, zamieszkiwane przez mało i średniorolnych chłopów.

A jednak kiedy już we wrześniu chłop z Wolicy i Grabia byli daleko zaawansowani w realizacji planowego skupu zboża, to gromady: Kłęczan i Sobolów nie docięgały jeszcze do 40 proc. rocznego planu. Podobnie z akcją kontraktacji trzody chlewnej.

Dlaczego tak się dzieje? Brak akcji uświadamiającej? Nie. Miejscowi aktywiści partyjni, ZMP-owcy i radni GRN agituja na całego pośród chłopów, uświadamiając ich o korzyściach, jakie daje kontraktacja. Wyniki tej pracy są jednak bardzo znikome. Dlaczego? Bo się na gadaniu kończyło. Na przesył trzdziesięciu radnych kontraktuje tuczniki zaledwie czterech.

Tu leży pies pogrzebany! Zapewne nie zdają sobie panowie radni z tego sprawy, że najlepszym argumentem w agitacji jest dobry przykład. Oto Władysław Mróz z Ubrze-

ży, Władysław Jonak z Jaroszków, aktywiści Koła Gospodyń w Kamyku, Maria Ziolkowska, Maria Izdebska z Wolicy i inni, którzy posiadają po kilka hektarów ziemi, a dotąd nie zakontrowali jeszcze ani jednego tucznika. Idąc za złym przykładem radnych, chłop z Kamyka, Jaroszków, Kłęczan i Sobolowa mało kontraktują świn, natomiast często sprzedają je na jarmarku w Łapanowie lub Gdowie. Np. taki Sotola z Grabia krzyczy, że nie ma świn do kontraktacji, a stado wala się w błocie na jego podwórzu. „Wy nie kontraktujecie, a n.k. każeć” — odpowiada radnym z gminy. — Dajcie wy sami najpierw przykład”.

Taki stan nie może dalej istnieć. Radni z Łapanowa zmienił swój stosunek do kontraktacji. Za wzór powinni wam posłużyć pracownicy Gminnej Spółdzielni, którzy sami we własnych gospodarstwach wcześniej zakontrowali 17 sztuk, a później dopiero poszli zawierać umowy z chłopami. Pierwszą dą przykład: Prezes Spółdzielni ob. Stanisław Wójcicki z Piotrkowa.

Marian Piotr Płatek

W Murzynku

W Murzynku chłopie powszechnie wiedzą, jak czułym jest Michał Karaś na punkcie terminowego placenia podatków i w ogóle wywiązywania się z wszelkich powinności względem państwa.

Toteż zdarza się czasem, że ten i ów, chcąc wyciągnąć Karasia na słowa, spyta, niby nie nie wiecie: „Jak tam — Karaś, odstawiliście już zboże i ziemniaki?” Karaś spogląda złym okiem na pytającego i cały zaczerwieniony z gniewu odpał: „Za kogo wy mnie macie, obywatelu? Ja Karaś, miałbym nie sprzedawać państwu wyznaczonego mi zboża i ziemniaków w terminie? Sprzedałem po pierwsze przed terminem, po drugie z nadwyżką, a po trzecie już dawno zapomniałem o tym”.

— „Tożecie się pośpieszyli. A patrzcie tylko, ilu to jeszcze chłopów zwleka z dostawą?”

— Zwlekają, bo głupie, bo nie rozumieją swego dobra” — rzucił Karaś gniewnie — „Oj zapomnieli już, jak to było za sanacji przed wojną, kiedy u ubogiego chłopu komórkę prawie, że nie wychodził z chaty. Trzeba było płacić i płacić bez miary. Bo i było tych podatków wyżej uszu! A różne, do cholery, że i nie spamiętasz. Gruntowy i dodatkowy,

drogowy i dochodowy, uzupełniający i gminny, wyrównawczy i szarwarkowy i od jacentów czy jacentów. Że i przy wymawianiu samej nazwy język można było poćmac. A o poćpaniu się w terminach płatności to i mowy być nie mogło! Nic więc dziwnego, że zaległości i kary rosły, a koszty egzekucyjne i odsieki też wciąż przybywały. Człowiek zagrzebał się w długach cały. By jedne spłacić, musiał zaciągnąć nowe. I tak w kółko panie Macieju...”

A teraz? Teraz placę jeden podatek — gruntowy, sprawiedliwie obliczony. Bo kto ma więcej gruntu, płaci więcej, a kto ma mniej, płaci też mniej. Mam też jeden tylko nakaz, w którym widzę sumę należności i termin płatności podatku. Jak przeliczę na żyto, to widzę, że mi wypada płacić dwa razy mniej, niż przed wojną. A za to mam i nowożytną sztuczną, za które obecnie po przeliczeniu na żyto, placę aż 4 razy mniej, mam i maszynę rolniczą i szkoły dla dzieci — średnie, a nawet i wyższe.

W gospodarstwie jest też nie byle jaki dobytek: 6 krów, 2 konie, 2 wozy, plug, kierat, kosiarka, wialnia, w chlewach ładna trzoda, to i mogę państwu zakontrować 5 — 6 sztuk.

Bronisław Kretowicz

Kłosy i osty

Niedaleko od szosy na czternastym kilometrze od Radomia rozłożyła się wieś Kuczki.

Na apel władz państwowych w sprawie skupu zboża reakcja mieszkańców wsi była rozmaita.

„Choćby przyszło kupić na wosnę to jednak teraz trzeba odspierać państwu” — pierwszy odzywa się Jaroszek Bolesław — mający 2 ha ziemi. Wiele przysięgać jego słowem, inni patrzyli jak zachowywał się miejscowi bogacze. A długo nie czekali, bo oto Domagała Stefan, mający 11 ha dobrej ziemi tak rezonuje: „Jeżeli ja mam odstawić metr żyta za 63 złote, a kupić na wosnę za 200 złotych — to niech lepiej ono u mnie poczeka”.

Tyle już odbyło się zebranie gromadzkich, tyle kłótni, tyle przekonywań — a bogacze nadal uparcie wykpiwają się, a nawet drwią z tych co odstawił: „Przyjdzie wy na wosnę do nas kupić”.

Akcja cała szła dość opornie — wieś zrealizowała mały procent planu — toteż miejscowe harcerstwo chce zawstydzić bogaczy, a równocześnie pochwalić tych, co odspierali zboże — narysowało afisz, przedstawiający z jednej strony piękne kłosy, a wśród nich nazwis-

ka sumiennych chłopów, a więc: Kotalskiego Jana, Piechowicza Jana, Jaroska Bolesława i innych, a tuż obok krzak ostu. Na kolcach nazwiska: Domagała Stefana, Grzywacza Józefa i innych opornych kulaków.

Afisz ten wywiesili harcerze z Gminnej Spółdzielni. Przychodzili ludzie i dziwili się pomysłowości, trafności i politycznej wymowie tego plakatu. Ale — jak było — do przewidywania nie spodobało się to miejscowym bogaczom, bo oto przyjechała żona Domagały i ze złością, nie szczędząc wyzwisk, zerwała afisz, zdeptała go i wyrzuciła, a Grzywacz Józef zawyrokoł: „Dziś się harcerstwo jest nie nie wartę, skoro takie afisze maluje i bodaj im ręce poupadają”.

Boją się bogacze publicznej nagany, oj boją! To jednak nie przeszkodziło jednemu z nich tego samego dnia odwieść do miasta kilka worków żyta i sprzedać pokatym kombinatorem. A gdy przyszedł dla wsi przyszedł węgiel — pierwszy stanął po odbiór właśnie Domagała Stefan. To najbardziej oburzyło wszystkich. Mimo tych oporów akcja skupu rozwija się. Do grudnia wykonała więc 62 proc. planu.

Marian Wilczyński

Bogacka i średniacka świadomość

Kulak Brudnicki z gminy Tuchowo. pow. lipnowskiego ma podobno wykształcenie prawnicze.

Jakoś zaraz po wypadkach gryfickich nadeszedł do Komitetu Powiatowego list, w którym pisząc o dziejącym mu się krzywdzie, delikatnie dawał do zrozumienia, że niby w jego gminie przestrzeganie praworządności jest bardzo wątpliwe.

„Etap obecny — pisał — nie jest etapem likwidacji kulactwa jako klasy”, dlatego on uprzejmie prosi o „ustosunkowanie się i zbadanie sytuacji”.

Mógłbyś pomyśleć, że Brudnicki łaskawie zwrócił uwagę Komitetowi na wypaczenie w pracy politycznej na terenie gminy Tuchowo.

Ale nie o to chodziło kulakowi.

Spozą sztych grubymi niemi rozumianiami na temat historyczności „nowego” etapu walki klasowej wyzierała delikatna forma szantazu. Mała prowokacja. „Co też oni powiedzą po tych Gryficach” — myślał sobie Brudnicki.

Teoretyczne rozważania i forma szantazu zawiadyły go jednak zupełnie. W czasie tegorocznej akcji skupu za niesumienność wobec państwa i łamanie praworządności ukarany został grzywną w wysokości 4 tys. złotych.

Kompan Brudnickiego 38 hektarów Obiernikowicz, który widział w nim opatrniczość wobec meza kuactwa na szczeblu gminnym szedł ślepo po tej samej linii. Tak samo jak on zaczął sabotować zarządzenia władzy ludowej i w podobny sposób został ukarany.

Jakże inaczej wygląda 7 hektarowy chłop z gminy Bobrowniki — Franciszek Dackowski!

Przed wojną służył jako fernal w majątkach obszarowych. Kilka lat jeździł w 4 konie u pana na Komorowie. Kiedy przypomniał sobie te czasy staje mu w oczach długi obdrapany czworak i podwórce majątku w Komorowie. Ciężkie było życie fernala u dziedzica Komorowskiego. Robota od świtu do nocy i najgorsza ze wszystkich niepewność jutra, bo dziedzic w Komorowie ordynary dawał kiedy mu się podobało, w zależności od kaprysu.

Dziś w Polsce Ludowej Dackowski jest gospodarzem.

W 1945 r. kiedy brygada robotników krajał pobszarzniczą ziemię — Dackowski otrzymał jako jeden z pierwszych 7 hektarów.

6 lat już na nich gospodarzy. W tym roku za wzorowe wywiązywanie się ze świadczeń na rzecz państwa Franciszek Dackowski został odznaczony przez Prezydenta R. P.

Franciszek Pudłowski

Irena Mazurkiewicz

ON — BIEDNY — DAĆ NIE MOŻE

„On — biedny — dać nie może! Narzeka stale, biada, Uskarża się, złorzeczy, Więc rad niejeden wiedzieć,

Czy źle mu — w samej rzeczy? Trzydzieści ha ma ziemi

Pszennej i buraczanej, Lecz, gdzie mu się udaje,

To się wykrecą — sianem. Pięć krówek porykuje

U złobka mu w oborze, Lecz mleka on do zlewni

Nie daje — dać nie może! Dla domu i chudoby

Potrzeba mu — i basta! A cóż go do obchodu,

Że mleka trza dla miasta! Głódzyszek zżarł mu rzepak.

Pomór wyniszczył trzodę, Ach, biedny, nieszczęśliwy —

Niedługo zemrze głodem! A jak to jest naprawdę?

Sam ubił kilka świnek. Narobił salcesonów,

Nawedził kiebas, szynkę. „Zwał się sie” z spekulantem,

„Cichcem” to przehandlował, (By jeść miał co robotnik,

Jego nie boli głowa). Hoduje, produkuje.

Pcha w śpiżarnie i komory, Lecz FOR-u, ni podatku,

Nie wpłacił do tej pory. Miał właśnie rzepak sprzedać

I długi te zapłacić. Jakże zapłacić może,

Gdy wszyscy rzepak stracił? Skąd weźmie? — nie ma!.. nie da!

Pieniądzy nie urodzi. Nieprawda! — zebrał, sprzedał.

Cheć państwo okpić — złodziej! Ziemniaków nie odstawił:

Może mu „się upiecze”? Kwintali — na skup zboża,

Jak na śmiech, kilka wlecie. Nie zmłóci! — czym ma zmłócić?

Na SOM-y ciska gromy. A kompie! emłotowy

Swoj — ma pod stertą słomy. Łęga, kręci, oszukuje.

Nie ujdzie płazem mu to: „Nie ma!.. nie da!.. nie może!..”

Sprawdził to ezekucja, Pod groźbą egzekucja,

Wyrzębicie to, co ciula.. Okaże się, że może,

Ze da, choć nie chce — kulak!

Irena Mazurkiewicz

NASZE ROZMOWY

Ja, czy my?

Szanowny soltysie Rypalski! Ze wzruszeniem przeczytaliśmy Wasz list, pisany ręką, która sto razy częściej i dłużej trzymała plug, niż pióro.

Pozwólcie, że powtórzmy czytelnikom Wasze osobiste dzieje, a potem społeczne — gromady.

Mieszkańce w pow. Łask, gm. Wi. dawa, we wsi Osieczno. Macie własnej ziemi 1 ha, dzierżawicie 2,5 ha. W rodzinie 6 osób. Najstarsza córka, 15-letnia, kończy szkołę podstawową. Dwoje następnych (13 i 10 lat) również w szkole, najmłodsze (6 lat) u domu.

Jesteście członkiem ZSL-u, jesteście w ORMO. Prezesujecie w kole ZSCH. Wybrano Was na meza zaufania od kontraktacji buraka cukrowego, także od kontraktacji zboża, ziemniaków i nasion olejnych, zostaliście kierownikami grupy hodowców.

Jak widać z tych „urzędów” w Waszym ręku skupia się nie tylko organizacja administracyjna gromady ale również gospodarcza, polityczna, nawet kulturalna. Pracujecie co najmniej z 6-ciu aktywistów, z których każdy miałby nie mało roboty w swoim kole, czy w swojej grupie. Jakże to Waszej pracy są wyniki? Wiesz wasza jest najbardziej biedna w gminie, a mimo to już do 15 września podatek gruntowy spłaciła w całości. Skup zboża i kartofli wykonała w 100 procentach do połowy listopada. Osiągnięcia imponujące.

Cieszymy się też wraz z Wami z odznaczenia, jakie otrzymaliście.

Cieszy nas również i wzrusza zapobiegliwość o potrzeby gromady. Od znaczenia bowiem przyjęliście nie tylko we własnym, ale także w interesie gromady. Zrozumieście odznaczenie, jako zwrócenie uwagi nie tylko na Was, ale i na Waszą patriotyczną gromadę. Wobec czego w liście do naszej Redakcji wystąpiłicie z potrzebami swej wsi. Z takimi mianowicie, które zdaniem Waszym państwo ludowe mogłoby zaspokoić tytułem nagrody udzielonej waszej wsi. Pisząc:

„Gromada moja jest prawie najbardziej ubiedniejsza w całej gminie a dawno już wywiązała się przed terminem w 100 procentach, ja bym więc prosił Redakcję, aby się przychylna do tego, aby czemś wynagrodzona moją gromadę. Ja bym życzył sobie założenia telefonu, bo mamy 8 km do gminy. Potrzeba tylko szupa, 15 m. kabla i aparatu. Jakby nie szło z tą sprawą to może jaką maszynę rolniczą np. oplewacz do buraków albo radio albo trochę drzewa na remont świetlicy”.

Nie ma co, „ojciec” gromady to z Was jest. Nawet o nagrodę umiecie się upominać, choć jak wiadomo, nagrody na tym polegają, że nie zasłużeni je wypraszają ale oceniający zasłużonym udzielają nagród. Ci,

którzy oceniają, decydują o wyborze kanoników do nagród.

Ale faktem jest, że przydałby się w waszej gromadzie telefon, oplewacz, radio i remont świetlicy. Pisał do nas też soltys, Makowiak, że wsi Lubonia w podobnej sprawie. Ale on przedstawiał ją inaczej, niż wy, Kol. Rypalski. On próbował nam wyjaśnić tajemnicę udanej akcji skupu i spłat należności finansowych. Jego bowiem gromada również wywiązała się ze wszystkich obowiązków w 100 procentach.

Cóż to za gromada? Nieduża, tylko 54 numerów (około 400 mieszkańców). Odtóż ta gromada w okresie zniwionym zebrała na remont szkoły i zakup sprzętu szkolnego 6.000 zł. To są chłopie pieniądze mało- i średniorolnych. Któż pobudził wieś do tej ofiarności, do tego twórczego czynu? „Ojciec” gromady, sam soltys, Makowiak? Makowiak i tę tajemnicę wyjaśnia. Nie pracuje on sam. Ten perzeterowiec opiera się o aktywa koła partyjnego, o aktywa ZSCH, ZMP i koła gospodyń.

A wy, kol. Rypalski, jakie zajmujecie w tej sprawie stanowisko? „Jestem już 4 lata soltysiem, ale jeszcze nikt nie był pomóc w gromadzie, bo ja żadnej pomocy nie żądam od gminy, ani do partii, bo sam dam sobie radę w gromadzie, bo obywateli rozumieją swoje obowiązki”.

Warto się zastanowić Wam, kol. Rypalski, i wielu innym soltysom oraz aktywistom na gromadach, że przecież w wyniku takiej właśnie postawy... „z mojej gromady nie mam nikogo ani w przemyśle, ani na żadnym stanowisku w GRN”, w wyniku takiej postawy... „Przedmym GRN dosyć możliwe udziela swej pomocy po innych gromadach”. W wyniku, takiej postawy wszystkie koła i grupy u Was, kol. Rypalski, koncentrują swe kierownictwo.

A gromada, jak widać z akcji skupu, jest w świadomości obywatelskiej wysoko zaawansowana. Każdy tam chłop indywidualnie stanowi dobry materiał do pracy społecznej. Ale żeby ją rozwijać, trzeba otworzyć drogę dla aktywności społecznej kół i grup, trzeba ułatwić wysunięcie przedowników tych kół i grup.

Pisząc pięknie: „Jestem wdzięczny za moje stanowisko (soltysa) i chcę nadal pracować dla ojczyzny i nie dać się przełamać wrogom, spekulantom, kombinatorom wojennym, chcę utrzymać pokój w Polsce Ludowej dla przyszłych pokoleń”. Ale czy wypełnicie te zadania po staremu? Czy nie wymagają one właśnie walki o rozszerzenie aktywności na gromadach.

Odpowiedzieć nam, jak myślicie osiągnąć ten cel? Niechże w Waszych trudnościach wspomagają Was głosy innych „soltysów i aktywistów na gromadach. Oczekujemy listów.

Piotr Chmura

Dziwna wieś, czy dziwny korespondent?

Korespondent pokazuje nam, jak gromada Świetlino, pow. Legorki, woj. gdańskiego przeprowadziła skup zboża. Zaczyna słuszenie od krótkiej historii wsi od 1947 roku. Ale... i tu zaczynają się nasze wątpliwości — bo, co w tej historii uważa za najważniejsze i za decydujące?

Niedbale i pośpiesznie przeprowadzenie osadnictwa na gruntach poniemieckich w r. 1947 („przynawiali działki i tym rodzinom, co na gospodarstwie rozumieć się tyle co wilki na gwizdach”), nie fachową i odgórnie narzuconą klasyfikację w r. 1949 („w skład komisji wszedł jakiś dziwak około 18 lat... ten specjalista poklasyfikował grunt od drugiej do szóstej klasy, ułóżąc — ja tak mówię i musi tak być — i tak zostało do dziś dnia”), opuszczanie gospodarstw przez osadników i wrzescie fatalne prowadzenie się sekretarza jednej z działających we wsi organizacji politycznych („pił i oszukiwał ludzi i groził gospodarzom, na kogo miał złość”).

A dalej tak pisze: „zebrawszy to wszystko, można lekko domyślić się, jak przebiega skup zboża w takiej gromadzie”.

Po takim wstępie domyślać można się najbardziej ponurych i okropnych rzeczy. A tymczasem, jak przebiega skup zboża w tej wydawałoby się pobawionej opieki i nieogospodarowanej gromadzie? Oddajemy głos korespondentowi: „gromada Świetlino do 20 września br. odstawiła zboże w 70 proc., a obecnie już w 90 proc.”. Ale autora korespondencji wcale to nie cieszy, nie ukrywa swego pesymizmu: „reszta wywiże się, ale niejednemu gospodarzowi chleba zabraknie”. Skóra na nas ścierpa. Czyżby znowu jakieś przecięcie w stylu gryfickim, jakaś próba ogłotnienia gromady z ziarna? Na szczęście, sam autor (niechętnie wprawdzie), ale nas trochę pocieszył, pisząc: „puć wierszy dalej; podczas zebrania gromadzkich w sprawie skupu zboża gospodarze z naszej gromady choć widzieli, jak lichy stan im zostaje w

zbożu, przez cały czas wesoło i żartobliwie jedni drugich zachęcali, warkami były ładowali i odstawiali na punkt skupu”. Korespondent tego nie rozumie: „kiedy tak popatrzyć z boku, to naprawdę podziwiam chłopów naszej gromady, że oni nie sobie z tego, że kupowany chleb będą jedli, nie robią i żaden się nie martwi, a wszyscy weseli”.

Kolego, nikt od Was nie żąda abyście ukrywali braki, błędy i niedociągnięcia naszej nowej gospodarki. Przeciwnie bez wykrycia i naprawienia tych błędów i niedociągnięć nie moglibyśmy się pójść naprzód do Świetlicy, w innych wsiach i miastach, w całym kraju. Ale trzeba widzieć wszystko i to co złe, stare, opierające się przemianom, i to co nowe, postępowe, przez naprzód.

Jak ocenić fakt, że wszyscy mało- i średniorolni powieźli zboże na sprzedaż, wesoło i żartobliwie, jedni drugich zachęcając? Jakaż w tym wyraża się odpowiedź na dawne błędy i braki sprzed lat? Czyż nie o dojrzałości gromady świadczy to, że żaden z mało- i średniorolnych „nie martwi się, a wszyscy weseli”? Taka gromada buduje Nową Polskę. Taka gromada wierzy w klasę robotniczą i w wierze tej nie będzie zawiedziona.

Skup zbo

